Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

„Z RUCHU FILMOWEGO W NIEMCZECH“ STEFANJI ZAHORSKIEJ

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Oddział „Wiadomości Literackich“ w Paryżu, 123, boul St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

Cena 80 groszy

Nr. 39 (195) Warszawa, Niedziela 25 września 1927 r. Rok IV

JULJAN TUWIM

Pogrzeb Słowackiego

Witaj, trumno wąziutka!
Co tam stuka w popiele?
Czaszka, wyschłe piszczele,
Paryskiej ziemi grudka,
Nie wiem co, ale niewiele...
Dzieńdobry, biedny aniele.

Biją dzwony i działa
Zmurszałym szczątkom ciała,
Kłaniają się ministrowie,
Kroczą persony przednie.
Ulica patrzy i słucha. —
Wiozą ci, — ach! Krakowie! —
Wiozą ci Króla Ducha.
Prezydent mówi — i blednie.
Marszałek mówi — i blednie.
Sztandar śnieżnie i krwawo
Okrył cię, prochu, dumnie.
Wiozą ci, — ach! Warszawo! —
Wiozą ci Króla Ducha.
A kości grzechocą w trumnie,
Stukają okrutną sławą,
I rośnie cisza głucha
I tłumów pobożnych mrowie.
Witaj i żegnaj, Warszawo!
Witaj i żegnaj, Krakowie!

A co się stało? Co było?
Szczupły brunecik. Syn Sally.
I nagle — Ogień — Idea:
Polska — On — Salomea.
I już się wszechświat pali!
Sam płonie w nim! Spalił się! Spalił!
Spalonego grzebali
Syna twojego, Sally!
Zgasili go mogiłą,
Spopielił się, zatracił!...
Potem grób rozkopali,
Świat się matce odpłacił:
Odniósł proch.

Tak to było.

A tu się działo i działo
To, za czem serce pękało,
Za czem wył — obłąkaniec:
Na śmierć szli po kolei
Jak kamienie
Przez Boga
Rzucane
Na szaniec!
A potem stało się, wstało
Słowo Ognia-Idei,
I teraz tłum stoi niemy,
Ulica zastygła we dnie,
Prezydent mówi — i blednie,
Marszałek mówi — i blednie,
A wszyscy jednako nie wiemy,
Gdzie słowo i gdzie ciało?

Słowo? Dzwoni i błyska,
Słowo pioruny ciska,
Jak dawniej — szumnie, dumnie!
Ciało? Próchnicą przeżarte,
Ciało na popiół starte
Kołace w czarnej trumnie.
Niewiele tego, niewiele,
Czaszka, zeschłe piszczele
I obcej ziemi grudka.
Matki niema w kościele,
Dobranoc, biedny aniele!
Żegnaj, trumno wąziutka!...

Janowi Lechoniowi, autorowi wiersza „Pani Słowacka"

K. W. ZAWODZIŃSKI

Nieuwzględnione motywy decyzji życiowej Conrada

Przyjazd do Polski p. Jean-Aubry, najznakomitszego conradzisty i, co nas tu specjalnie obchodzi, „rewindykatora Conrada“ na rzecz polskości, wrócił znów aktualność nierozwiązanej zagadce ekspatrjacji Józefa Konrada Korzeniowskiego, tylokrotnie przez pisarzy polskich roztrząsanej, z wielką zresztą nieśmiałością, raczej z kurtuazyjną dyskrecją, zrozumiałą i wskazaną u przedstawicieli wielkiej literatury, której ubliżałyby tylko nieuzasadnione aneksje pośmiertne tych, co do niej za życia należeć nie chcieli. Lecz choć, pełni godności własnej, staramy się nie dać tego poznać po sobie, bolejemy skrycie, i samo, rzekomo objektywne zainteresowanie nasze tym pisarzem w dużej mierze tłumaczy się „wstydliwie odepchniętem pragnieniem“ wejścia z nim w porozumienie na tym najdrażliwszym, najbolesn.ejszym punkcie: stosunku jego do wspólnej ojczyzny. A przecież nietylko Polaka, nietylko tego, kogo boli, lecz i chłodnego obserwatora zainteresować musi niezwykłość, zagadkowść, niewytłumaczalność psychologiczna sprawy. Ba, żeby chodziło o zwykły wypadek wynarodowienia kogoś wychowanego wśród obcych lub w środowisku obojętnem, mało pod względem narodowym natężonem, — przeszlibyśmy do porządku dziennego nawet nad największym genjuszem z naszej krwi pochodzącym; ale tu człowiek wprost na ołtarzu ojczyzny zrodzony, w ofiarnym jej ogn.u, przez tych, którzy „cierpieli za sprawę“ (jak się jeszcze za czasów mego dzieciństwa mówiło), wypielęgnowany na „mściciela ich kości“, na pacholę wyrosły w „Piemoncie polskim“, wśród czekających odwetu murów Krakowa, — to jakaś bezprzykładna niemożliwość psychologiczna!

Nie wierząc w ostateczne rozwikłanie węzłe, którego końce zostały w oceanie śmierci wraz z Conradem, myślę, że można jednak przybliżyć się do zrozumienia, wyzyskując pewne fakty i nastroje, pomijane przeważnie przez ludzi piszących o zmarłym pisarzu, którzy zwykle w samych jego dziełach lub w wynurzeniach ustnych czy pisemnych szukali wyjaśnień. Przecież w dziełach dla Anglików pisanych sprawy te miejsca znaleźć nie mogły, dumna zaś, skryta i wstydliwa organizacja duchowa nie pozwoliłaby nigdy, nawet w prywatnych listach, nawet w rozmowach z rodakami, zwierzać się z tak intymnych uczuć: wyznania, tyczące się najtajniejszych, najzuchwalszych marzeń, były niemożliwe, zbyt szalone za czasów niewoli, przybrałyby po odzyskaniu n.epodległości charakter usprawiedliwiania się winowajcy.

Ujmując obchodzącą nas kwestję od zewnątrz, możnaby ją rozczłonkować na trzy kolejne, w porządku odpowiadającym chronologji wydarzeń, pytania: 1) dlaczego Conrad, zamiast pracować w Polsce, kontynuując trud i walkę ojca i wszystkich swoich, wyjechał na dalekie morza? 2) czemu za przybraną ojczyznę wziął Anglję a nie Francję, której język znał, gdzie się skupiała emigracja, gdzie już rozpoczął służbę marynarza? 3) czemu pisał po angielsku?

1

Żeby odpowiedzieć na pierwsze pytanie, my, „urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“, sięgnijmy do naszych wspomnień, zanim się nie starło z nich delikatne jak puszek owocu zabarwienie uczuciowe, i określmy dla użytku przyszłych, szczęsnych pokoleń, dla których to będzie tylko mgłą okropnej legendy, czem był dla nas subjektywnie, w najtajniejszej swej istocie, brak niepodległości? Nie omylę się twierdząc, że dla wielu, może dla ogromnej większości, nie była to sprawa społeczna. Nie: była to zniewaga osobista, dziedziczona wraz z mową polską, nieustannie przytomna świadomość ciążącej hańby, zdobywana w pierwocinach naszej wiedzy o świecie, dojrzała wraz z „dojściem do rozumu“. Cokolwiekśmy robili, o czemkolwiek myśleli, wszystko ulegało wypaczeniu, odchyleniu charakterystycznemu, jednokierunkowemu i tak nieuchronnie, że nawet widząc dryf (że użyję, pisząc o Conradzie, obowiązującej choć nieszczęśliwej terminologji żeglarskiej), nie mogliśmy mu żadnym sterem woli przeciwdziałać. Zazdrościliśmy prostemu wyrastaniu wolnych, skrzywieni wiejącą wciąż z jednej strony srogą, monotonną wichurą. Jak o łasce losu marzyliśmy o beznadziejnym choćby boju; jak człowiek pałający żądzą zmycia obelgi własną krwią w pojedynku, w nierównej walce z przemożnym szermierzem, stawał niejeden z nas w szeregach legjonowych bez wiary w zwycięstwo. Dawno przed nami jasnowidzący samotnik Norwid ujmował psychologiczną istotę sprawy:

Wiedzże więc, za co ja cię nienawidzę,
Niewolo!... Wiedźcież wy, *czemu?*
Wandale!
Oto iż *dla was* serce mieć się wstydzę
Od życia progu żyć nie mogąc wcale,
Od dziecka musząc *kląć* — od pierwszej chwili
Zaczątków serca już serca nie mając,
Lecz *coś*, co jakby miecz dobyć się sili —
Coś o czem że jest, wiem, was odpychając
(„Fulminant“)

i w tymże r. 1863 wydaje okrzyk zdławionego, poza kres milczącego cierpienia wyprowadzonego serca:

. . . głucha lodu bryło!
Dopókiż będę pod tobą umierał — ?...

Łączyło się z tem jeszcze poczucie bezsilności, potężne już w pokoleniu listopadowem, wzmocnione jeszcze przez klęskę 63 roku, intensywniejsze w młodości Conrada niż w naszej, rozświetlonej nieco odblaskiem łun Cuszimy, Mukdenu i pierwszej rewolucji rosyjskiej. „Gorzkim chlebem jest polskość“—uświadamiał sobie na całe życie młodzian polski,

Strędowaciały hańbą albo ślepy
Nieszczęściem, czarne nawodzącem krepy,
Lub paraliżem tknięty przerażenia,

i marzył o wyjściu „z domu niewoli“ na jakiś przestwór wolności.

Na oceany! Kto z nas nie śnił wówczas o podniesieniu bandery polskiej na jakimś statku, którego pokład stałby się nam wolną ojczyzną, jeśliby gdzieś na Pacyfiku nie udało się odkryć nieznanej wyspy, podstawy działań wojennych przeciw przemożnemu wrogowi. Być korsarzem! topić okręty nieprzyjacielskie! osłabiać w jakikolwiek sposób potęgę przeciwnika!—taką taktykę mścicieli narodów uciemiężonych podpowiadali najmniej wynalazczym wyobraźniom autorowie powieści awanturniczych; mógłbym na poczekaniu wymienić co najmniej trzy Jules Verne'a, a ileż innych starszych, np. Coopera, któremi się karmił sztubak krakowski koło r. 1870.

W jego duszy wszystkie te uczucia dochodziły do niesłychanego napięcia. Potęgowane i przez tradycję rodzinną i przez środowisko, z którego wyszedł, i przez wspomnienia najwcześniejszego dzieciństwa, obejmowały pożarem nieugaszonym duszę skupioną, wolę nieznającą przeszkód; niewypowiedzialne żadnem ludzkiem słowem, domagały się realizacji pod grozą natychmiastowego rozsadzenia kruchej powłoki wulkanu.

2

Ale minimalny zmysł rzeczywistości ukazywał nieziszczalność i bezcelowość samotnej walki przeciw potężnemu państwu. Należało zaciągnąć się do szeregów walczących lub gotujących się do walki, wesprzeć je swem ramieniem, swą pracą, słowem — wybrać „orjentację“. Nie wchodząc w ocenę niedawnych wojennych „orjentacyj“, tu stwierdzić należy dawno zauważony bezsporny fakt, że w ciągu dwu stuleci, co najmniej do końca w. XIX, sprawa polska miała charakter antyrosyjski. Imperjum Polski na Wschodzie, więc jej mocarstwowe stanowisko, a w istocie, jak się niebawem wyjaśniło, jej niepodległość, już w XVII w. została przemożnie zaatakowana przez Moskwę. Przeciw niej kierowało się ostrze polskich wojen i powstań. Sojusznikiem Polski był każdy kolejny wróg Rosji, Szwecja, Turcja, Francja, nawet przelotnie Prusy w czasie wielkiego sejmu. Gdy Conrad stanął na ziemi francuskiej, orjentacja antyrosyjska traciła tam aktualność. Rozbita przez Niemcy Francja oglądała się za sojusznikiem przeciw nim. W ciągu czterech lat służby Conrada w marynarce francuskiej sytuacja międzynarodowa wyjaśniła się dostatecznie. Zdecydowana postawa Anglji w r. 1878 (więc właśnie w roku przejścia Conrada na służbę angielską) pokazała, gdzie jest najgłówniejszy wróg wszechświatowej hegemonji Rosji; jednocześnie stanowisko Niemiec na kongresie berlińskim zarysowało antagonizm niemiecko rosyjski; wróg Niemiec był naturalnym sprzymierzeńcem Francji: sojusz francusko - rosyjski czekał już tylko formalnego zawarcia. Odtąd, choć z bólem serca, Polak musiał się wyrzec pracy na rzecz państwa francuskiego (a m. in. Conrad zamyślał zaciągnąć się do marynarki wojennej); orjentacja angielska staje się na przeciąg dwudziestu kilku lat najbardziej bezsporna — rzekłbym: obowiązująca — w Polsce. Tylko Anglja, władczyni oceanów i pani setek miljonów poddanych, wydaje się równorzędnym konkurentem rozpartej w dwóch częściach świata potęgi; klęska Rosji w wojnie japońskiej wywołuje jednomyślny entuzjazm w Polsce nietylko jako klęska wroga, lecz też jako zwycięstwo Wielkiej Brytanji w polityce globalnej; Polak na ochotnika walczący przeciw Japonji traktowany jest jako zdrajca narodu; natomiast z aprobatą spotykają się sporadycznie, praktycznie rzadkie ale teoretycznie bardzo charakterystyczne wypadki zaciągania się do armji angielskiej, nawet dla walki z broniącymi swej niepodległości Burami.

Postawa Polski w czasie wojny burskiej jest najjaskrawszym objawem naszej wierności w niepisanym, jednostronnym, drugiej stronie bodaj nieznanym sojuszu. List Sienkiewicza jest jedyną oficjalną (gdyż trudno dziś pojąć, do jakiego stopnia Sienkiewicz był w owym czasie oficjalnym reprezentantem Polski) manifestacją tego sekundowania nawet w złej sprawie, potępionej przez zgodną opinję całego cywilizowanego świata; wbrew niej, Polska uznała za konieczne zająć przychylne dla Anglji stanowisko.

Świeża pamięć polityki angielskiej z epoki Lloyd George'a zatarła wspomnienie tych faktów, dlatego też tak obszernie o nich piszę. Jednym z nich było wstąpienie w r. 1878, w epoce największego napięcia stosunków Anglji z Rosją, do marynarki brytyjskiej dwudziestoletniego Polaka, jednego z pierwszych wyrazicieli orjentacji angielskiej w Polsce.

3

Pozostaje zadanie najtrudniejsze: jak uzasadnić, wychodząc z wyżej podanych motywów, wybór języka twórczości?

Jeżeli Conrad zapatrywał się na swą przyszłą działalność literacką jako na spożytkowanie przedewszystkiem swoich wrażeń marynarskich, jasne jest, że nie mógł pisać po polsku dla braku terminologji żeglarskiej, przyjętej w języku literackim i powszechnie, w szerokich kołach czytelniczych zrozumiałej; myślę tu specjalnie o słownictwie okrętu żaglowego, który dla prawdziwego żeglarza starej daty był istotnym bohaterem każdej przygody morskiej. Jak kapitalne ma znaczenie ta terminologja dla dzieł Conrada, widzimy na ich polskich przekładach, popstrzonych barbaryzmami i dziwolągami językowemi, które w dodatku trzeba wyjaśniać w niezliczonych przypiskach. I to się dzieje już po kilku latach istnienia polskich szkół marynarki, po kilku dalekich podróżach polskiego żaglowca! Pierwsza próba ustalenia słownictwa żeglarskiego miała miejsce w r. 1904 *), więc w dziesięć lat po rozpoczęciu karjery literackiej Conrada, i przeszła bez .echa, wobec niemożności praktycznego zastosowania. Pisać więc wówczas o przeżyciach morskich żeglarza po polsku, byłoby to stwarzać hymny na cześć kobiety ziemskiej w języku Marsjan, którzy ani jej wdzięków nie widzieli, ani nie mają słów na ich określenie.

Jednak kwestja terminologji nie wyjaśnia całkowicie, muszę przyznać, sprawy wyboru języka, w jakim pisał Conrad. Tematy marynarskie nie wyczerpują całej jego twórczości, i właśnie pierwsza powieść „Fantazja Almayera“ — nie jest opowieścią żeglarską.

Nie jestem pewien, czy i inne moje tezy znajdą potwierdzenie dokumentalne, raczej przygotowany jestem na ukazanie mi pozornych kontrargumentów. Mimo to wierzę w prawdziwość naszkicowanego przeze mnie tajnego kośćca tych spraw. Wystarcza mi, że hipotezy moje wprowadzają pewien ład w pojmowanie życia niepospolitego Polaka, któremu sądzone było zostać wielkim pisarzem angielskim; że usuwają konieczność podejrzewania w nim renegata, dezertera sprawy polskiej, suponując inne pobudki działań, pozornie sprzecznych z miłością ojczyzny, w istocie wypływających z jej nadmiaru.

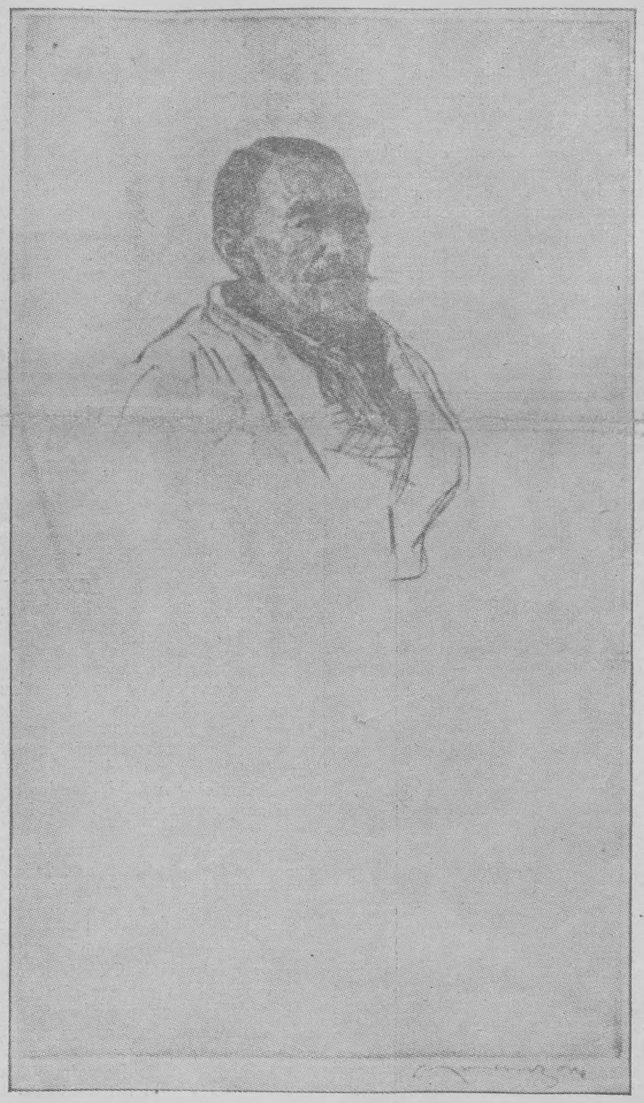

JOSEPH CONRAD
portret Muirheada Bone

*) Niestety, okoliczności wskrzesiły tę próbę nagradzając słusznie pierwszego propagatora żeglarstwa w Polsce, gen. Zaruskiego, krzywdząc zato polszczyznę. O kwestji terminologji miałem sposobność wypowiedzenia się obszernie (pod pseudonimem „Yachtsman“) w fachowem piśmie „Bandera Polska“ (w końcu r. 1920).

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kw. IV b. r. (wraz z miesięcznikiem „Pologne Littéraire“ zł. 9.— w kraju, dol. 2.— zagranicą). Administracja: Warszawa, Boduena 1, tel. 223-04 (można zamawiać telefonicznie). Konto w P.K.O. 8.515

STEFANJA ZAHORSKA

Z ruchu filmowego w Niemczech

Berlin, w sierpniu 1927.

Wszystko razem czyni wrażenie jakiegoś nowoczesnego Klondyke, położonego w samym środku Europy. Przychodzi kto chce, wbija pale gdzie chce, i wszystko jest w porządku — pourvu, że znajdzie złoto. Dyplomów na fachowość jeszcze niema. Kto ich ma udzielać? Fachowcy teatralni chcieli zagarnąć tę rolę dla siebie, ale okazało się, że rzeczywistość niezawsze przyznaje im rację i że fachowość teatralna obciąża niejednokrotnie złem dziedzictwem karjerę filmową. Zresztą któż jest w stanie powstrzymać napływ, jeśli węch handlowy mówi, że „interes jest do zrobienia“.

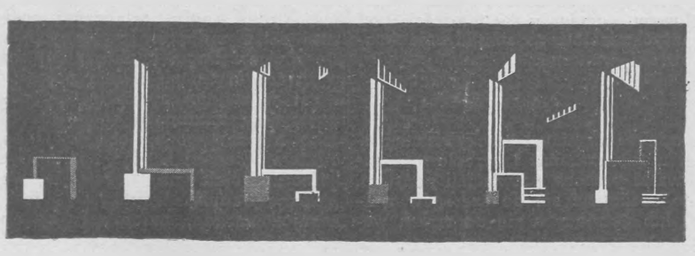

Fuga z filmu absolutnego Hansa Richtera

Ze wszystkich zbankrutowanych branż napływają ludzie, reżyserzy zjawiają się niewiadomo skąd i wywodzą swój rodowód artystyczny częstokroć z konfekcji damskiej lub męskiej, od pończoch lub bluzek. Istnieją firmy, które pracują na zamówienie, t. zn. właściciele kin zamawiają „film sportowy“, lub „film wiedeński“, i w parę tygodni później towar zostaje dostarczony.

Mimo wszystko branża filmowa przeżywa kryzys. Najlepszym tego dowodem jest powstawanie szeregu drobnych spółek, których istnienie obliczone jest niejednokrotnie na czas wykonania kilku filmów. Reżyserów, aktorów, komparsów, przybory i atelier filmowe wynajmuje się, a wskaźnikiem i granicą wysiłków „artystycznych“ jest dokładnie sporządzony kosztorys. Z wielkich wytwórni największa „Ufa“ wpadła na filmie „Metropolis“, reżyserowanym przez Fritza Langa, straciła miljony, wobec czego dewizą ogólną stało się nieeksperymentowanie, a produkcja pewnych szlagerów. Ale ta fabrykacja drogą najmniejszego oporu nawet z handlowego punktu widzenia nie jest wyjściem z sytuacji. Nawet interes jako interes wymagałby odważnego eksperymentu, wniesienia jakichś nowych pomysłów, które porwałyby publiczność. Właśnie ich brak powoduje kryzys.

W gruncie rzeczy rozpacz ogarnia, kiedy się patrzy na tę olbrzymią ilość pieniędzy, pracy ludzi i maszyn, pracy niesłychanie wytężonej i wręcz morderczej, której owocem jest stuprocentowy kicz, pozbawiony wszelkiego artystycznego sensu. Dla tych „Czarów walca“, z których sentyment kapie tłustemi kroplami (tworzy się teraz cała ich serja z Harrym Liedtke, którego gaża wynosi 1.500 marek dziennie), dla tych rozdzierających tragedyj i śliskich fars, dla tego całego stek nieprawdopodobnych bredni buduje się zamki, rekonstruuje historyczne kościoły, stwarza z drobiazgowem realizmem całe ulice, inscenizuje z pomocą setek litrów benzyny pożary, nie cofając się przed istotnem niebezpieczeństwem i faktycznem narażaniem życia. Takie miasto filmowe obok wielkiej wytwórni ma zresztą niewątpliwie swój urok. Jest jakaś niesamowita fantastyczność w tym przygodnym zlepku wszelkich możliwych czasów i wszelkich możliwych sytuacyj, nagromadzonych dokoła nowoczesnej fabryki, pracującej tysiącami robotników i tysiącami wolt. Teatralność podniesiona do potęgi — spleciona z najkonkretniejszem życiem pracy i organizacji fabrycznej. A jednak — w istocie rzeczy — wszystko to razem jest jednem wielkiem szaleństwem. Jest zamykaniem oczu na właściwe artystyczne zagadnienie filmu i zapychaniem pustki nonsensownym bric-à-brac szychu wystawowego, który oczywiście nie ma nic wspólnego z filmem jako sztuką. Kiedyś nazwie się tę całą epokę rozwojową filmu kosztowną dziecinnadą lub poprostu okresem barbarzyństwa. Co w tych warunkach, normowanych jedynie kalkulacją kapitału, może się znaleźć z właściwej inwencji filmowej — to są tylko drobne przemycane idee, lub odkrycia przypadkowe. Wielkie wytwórnie filmowe nie są — z bardzo nielicznemi tylko wyjątkami — terenem świadomej pracy artystycznej, nie posiadają nawet jakiegoś działu eksperymentalnego, przeznaczonego na próby i poszukiwania. Właściwie twórcza praca w dziedzinie filmu dokonywa się gdzieindziej: w małych, prywatnych pracowniach, nieraz na tradycyjnych poddaszach, z najmniejszym kapitałem (albo i bez niego), z najmniejszemi udogodnieniami technicznemi. I tu — tak samo jak wszędzie.

Przekleństwo kalkulacji handlowej ciąży nad całym rozwojem filmu. Nad filmem niemieckim specjalnie ciąży jeszcze inne smutne nieporozumienie: sentymentalny psychologizm. Niszczy on wyniki pracy nawet tam, gdzie wskaźnikiem dążeń jest jakiś program artystyczny. Kiedy Friedrich Zelnik, zapatrzony w genjalnego rosyjskiego „Patiomkina“, stworzył swój film „Tkacze“ (według dramatu Gerhardta Hauptmanna), poślizgnął się właśnie na tej trawie i pochyłej równi i zjechał w dół. Błędy przez niego popełnione są ciekawe, ponieważ charakteryzują całokształt nieporozumienia w filmie niemieckim. Jakaś dziwna zapora stanęła między niemieckimi twórcami filmowymi a prostą prawdą, stanowiącą jednę z najbardziej zasadniczych i najbardziej swoistych cech filmu: film nie jest antropocentryczny. Jeśli na scenie teatralnej jest zawsze człowiek i jego dusza, w filmie jest człowiek i świat. Punkt ciężkości zostaje przeniesiony na zewnątrz, ośrodkiem akcji staje się stosunek między człowiekiem a światem rzeczy i zjawisk. Rzeczywistość zewnętrzna dostaje się na scenę teatralną pośrednio przesiana przez sito ludzkiej psychiki, zamieniona na enuncjację przeżyć; w filmie istnieje ona objektywnie, niezależnie od wchłaniającego ją podmiotu, chwycona bezpośrednio aparatem fotograficznym. Świat rzeczy jest w filmie równouprawniony ze światem ludzi; film może odrywać nietylko nowego człowieka, ale i nowe „aspekty“ rzeczy i zjawisk. Zrozumiał to doskonale Buster Keaton lub Charlie Chaplin. Ale nie umieją tego zrozumieć filmowcy niemieccy. Dla nich pogłębienie treści jest zawsze synonimem analizy psychologicznej, a ich analiza psychologiczna w filmie jest zawsze hipertrofją mimiki aktorskiej. Tak powstają nieporozumienia w rodzaju filmów z Konradem Veidtem lub Elisabeth Bergner. Tak powstaje wogóle niebezpieczne zacieśnienie zagadnienia filmu do zagadnień gry aktorskiej. I dlatego też Zelnik nie potrafił wyeksploatować pomysłów Eisensteina, twórcy „Patiomkina“. Historyczna epopea porywająca homeryckim, monumentalnym rytmem akcji, zamieniła się w jego ręku na sentymentalny, rodzajowy obrazek; realizm — na szarżę charakteryzacji, historja wielkiego zdarzenia, historja czynu — na historję poszczególnych, indywidualnych przeżyć.

Temu psychologizmowi hołdują nietylko reżyserzy o zarejestrowanej firmie handlowej, ale i ludzie o pewnym programie artystycznym i pewien odłam eksperymentatorów. Teoretycznym rzecznikiem psychologizmu jest Bela Balazs, autor — najlepszej zresztą jak dotąd — niemieckiej książki o filmie: „Der sichtbare Mensch“. Psychologizm Balazsa nie jest tak ciesny jak psychologizm niektórych reżyserów, ale w praktyce prowadzić jednak musi do zgubnej jednostronności i pomijania najistotniejszych spraw filmu.

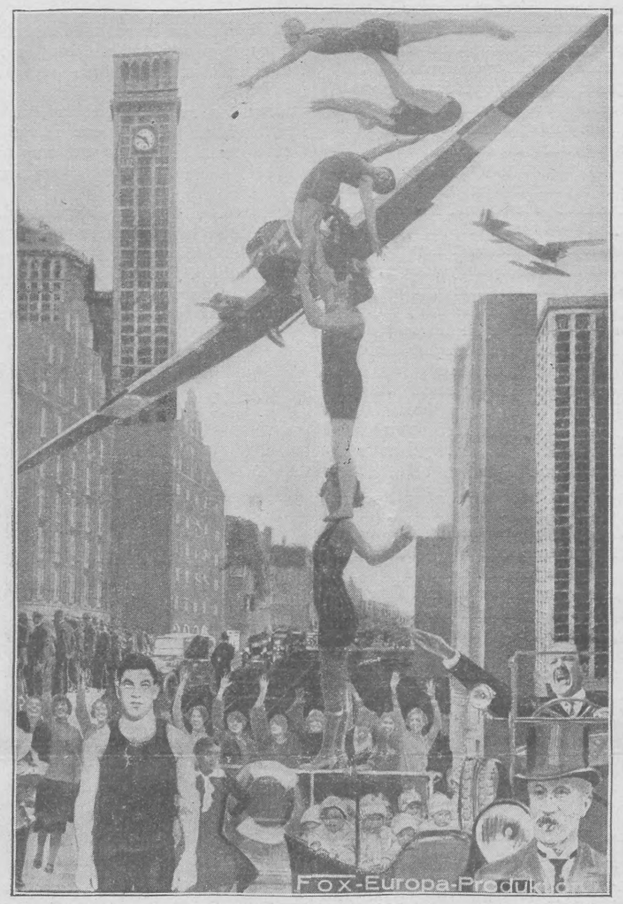

„SYMFONJA WIELKIEGO MIASTA“
film Waltera Ruttmanna

Istnieje jednak także i reakcja. Dotąd była ona całkiem nieoficjalna. Polegała na eksperymentach, o których wiedzieli tylko wtajemniczeni. Teraz po raz pierwszy wydobywa się na jaw w postaci wielkiego filmu, który ma stanowić „szlagier“ najbliższego sezonu. Film jest wytwórni „Fox“, a twórcą jego jest Walter Ruttmann. Tytuł: „Simphonie der Grosstadt“— symfonja miasta.

Rzecz jest ciekawa i odważna. Nie jest to dramat. Bez żadnej fabuły rozwija się utwór epiczny z dyskretną domieszką społecznie zabarwionej liryki (wpływ filmów rosyjskich). Historja życia wielkiego miasta, od poranku do północy, od szarego kolorytu i leniwego rytmu wielkomiejskiego przedświtu, poprzez potężne żelazne tętno pracy do rozigrania świateł i ludzi w nocnem życiu wielkomiejskiej ulicy. Przekroje życia i zestawienia płaszczyzn. Sens zjawisk wydobyty przez rodzaj plamowego ujęcia i przez rytm ruchów i akcji. Liryzm miękkich, szarych tonów, przeplatany czarno-białemi kontrastami, ostremi linjami ramion stalowych maszyn; melodje rytmiczne, ciche i rozlewne, mocne i groźne, burzliwe i rozpętane, ujęte w ramy kompozycji symfonicznej. Odrzucona wszelka pomoc literatury. Po raz pierwszy (w Niemczech, film mówi swojemi własnemi środkami, odkrywa treści mowę swoich własnych form. Walter Ruttmann włóczył się miesiącami całemi na ciężarowym samochodzie po ulicach miasta i chwytał płaszczyzny zjawisk cudownem okiem aparatu. Obyło się bez psychologji i łzawych sentymentów, bez kulis i nawet bez aktorów.

Doskonałem dopełnieniem tego filmu jest muzyka, skomponowana specjalnie przez Edmunda Meisela, nowoczesna i oryginalna zarówno pod względem instrumentacji jak motywów. „Film mówiący“ jest dla mnie ideałem niekoniecznie godnem pożądania; film zespolony z muzyką, amalgamat rytmów plastycznych i muzycznych, żyjących w przestrzeni i w czasie, przenikających się wzajem, i dopełniających formę tonem, daje nowy typ artystycznego tworu, coś jakby nowoczesną operę, opartą na naturalnem pokrewieństwie dwu dziedzin sztuki: filmu i muzyki.

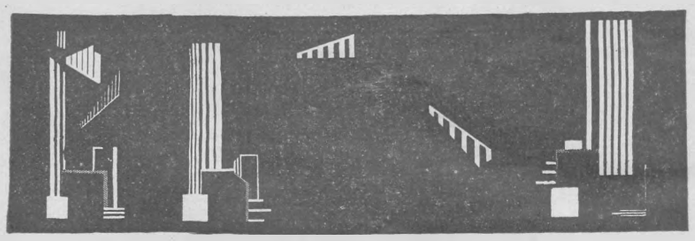

Fuga z filmu absolutnego Hansa Richtera

Istnieją eksperymenty, idące specjalnie w kierunku wyzyskania owych rytmiczno-muzycznych właściwości filmu. Do nich zaliczyć trzeba przedewszystkiem twory Hansa Richtera, spadkobiercy i następcy w tej dziedzinie zmarłego zbyt wcześnie Eggelinga. Hans Richter — pozatem redaktor czasopisma „G“ („Gestaltung“) — jest z pochodzenia malarzem, modernistą. Mimo tego w jego dotychczasowych eksperymentach plastyczno - kolorystyczna strona filmu mniej jest wyzyskana aniżeli rytmiczno - muzyczna. Jego film abstrakcyjny jest zestawieniem prostych, plaskich form i ułożeniem ich rytmicznego następstwa w kompozycję o charakterze fugi. Wzrastanie i zanikanie form, ich urywanie się nagłe lub przechodzenie stopniowe, różne stopnie natężenia świetlnego — oto elementy Eksperymenty ciekawe i poważne, choć — jak dotąd — zbyt jeszcze zacieśnione przez unikanie głębi i zbyt małe zróżnicowanie światłocieniowe.

Film abstrakcyjny ma jeszcze innych wyznawców. Ciężka praca eksperymentowania, zdobywania nowych środków ekspresji filmowej, odbywa się w najniewdzięczniejszych warunkach. Nikt nie zna tych ludzi, którzy nieraz latami całemi ślęczą nad zrealizowaniem swych pomysłów. Lotte Reiniger, twórczyni filmu sylwetowego, pracowała nad nim przez trzy lata, nim dzieło jej ujrzało światło dzienne i przyniosło uznanie, w danym wypadku zresztą większe od zasług. Jej film zdradza wprawdzie syzyfową pracę i niepozbawiony jest ciekawych pomysłów z dziedziny techniki filmowej, ale utonął w banalnościach pseudoliterackich i znowu w owym sentymencie stereotypowym wa, żaden zaciekły modernista, poprostu wytwórnia filmów reklamowych. Reklamują się opony samochodowe, czekolady, wystawa foto-kinematograficzna jeszcze z r. 1925, słuchawki radjowe, i t. d. Podstawą koncepcyj reklamowych są abstrakcyjne filmy Picabii, Légera, Man Raya, wreszcie Ruttmanna. Wyzyskanie ich pomysłów dla celów handlowych — wręcz doskonałe. Gra abstrakcyjnych form, wirujących kręgów, klinów walących jak tarany, elastycznych falowań, przekonywa niezbicie każdego, że najlepsze są opony „Excelsior“. Historja powstania filmu, przedstawiona na filmie reklamowym wystawy, trwającym najwyżej kwadrans, przeprowadzona jest w tak dowcipnych skrótach i zestawieniach, w tak pomysłowych fotomontażach filmowych, że ten krótki film reklamowy ma niewątpliwie więcej sensu i znaczenia artystycznego, aniżeli tysiące metrów krwawych dramatów.

Bilans całego tego przeglądu jest prosty: lwia część pracy w tej dziedzinie idzie — z artystycznego punktu widzenia — całkowicie na marne. Nietylko business jest temu winien. Ale i brak orjentacji, nieznajomość właściwych zagadnień i właściwej istoty filmu.

Niemcy powoli i nielicznemi tylko dziełami wkraczają na drogę istotnej twórczości filmowej. Rosjanie potrafili odnieść zwycięstwo nad olbrzymim niemieckim przemysłem filmowym jednym zamachem, jednym, dwoma filmami, i stanęli u szczytu, jakkolwiek ilościowo nie mogą marzyć o dorównaniu. Konsekwencja dla nas z tego jasna: pole jest do zdobycia.

„SYMFONJA WIELKIEGO MIASTA“
film Waltera Ruttmanna

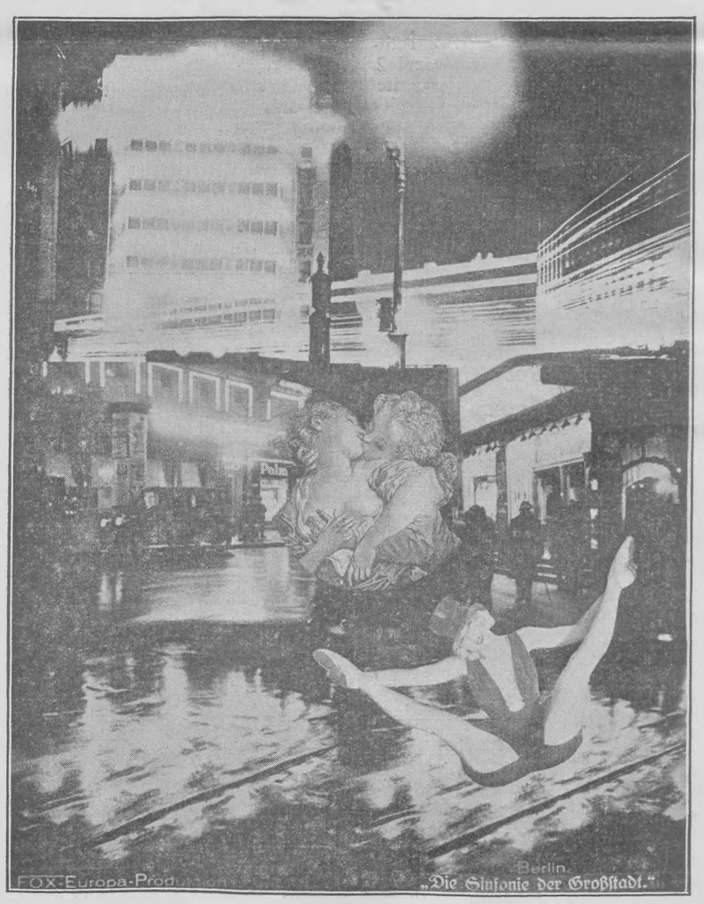

„SYMFONJA WIELKIEGO MIASTA“
film Waltera Ruttmanna

O wystawę Maxa Liebermanna w Paryżu

Jak wiadomo, „Temps“ wystąpił przeciw urządzeniu wystawy Maxa Liebermanna w Paryżu, motywując to tem, że Liebermann podpisał słynny „manifest 93“. W polemikach zarzucono dziennikowi, że usiłuje wskrzesić stare spory z czasów wojny. Obecnie śpieszy na pomoc atakowanemu „Tempsowi“ w „Les Annales“ Paul Souday, który przypominając, że w czasach najzażartszych walk prowadził wielkie kampanje w obronie Kanta i Hegla, Goethego i Nietschego, Wagnera i Richarda Straussa, czem ściągnął nawet na siebie najpotworniejsze zarzuty (Frédéric Masson uważał, że powinien być poprostu rozstrzelany), — twierdzi, że podpisu pod manifestem, aprobującym ohydną wojnę zaczepną, nic zmazać nie może. (Strauss miał odwagę odmówienia podpisu!) To że przebaczono Weingartnerowi i Reinhardtowi, którzy także manifest podpisali, nie dowodzi niczego. Zresztą Liebermann nie jest wielkim malarzem. Ale, być może, ktoś powie: a gdyby Liebermann był genjuszem, coby należało uczynić?

„Odpowiadam, — kończy Souday. — że gdyby miał genjusz, nie podpisałby. Wszyscy, którzy podpisali haniebny manifest, są postaciami drugorzędnemi, i niewiele tracimy, wymierzając im sprawiedliwość“.

Portrety polskie Elżbiety Vigée-Lebrun

Jerzy Mycielski i *St. Wasylewski.* Portrety polskie Elżbiety Vigée-Lebrun 1755—1842. 24 rycin w heljograwjurze na osobnych tablicach. Kartę tytułową i okładkę projektował *Ernest Czerper.* Poznań, Wydawnictwo Polskie, 1927; str. XIV i 2nl. i 148 i 15 i 5nl. i tabl. 24.

Portrety polskie stanowią w twórczości pani Vigée-Lebrun dział tak znaczny pod względem ilościowym i jakościowym, że należała im się słusznie osobna monografja. Pomimo to ma się wrażenie, że staranność, z jaką dzieło zostało wydane, jest nieco już niewspółmierna z nieco względną wartością artystyczną opracowanego przedmiotu: książka Mycielskiego i Wasylewskiego należy do tych klejnotów sztuki drukarskiej, w które literatura nasza bynajmniej nie obfituje.

Dzieło drukowane jest in 4-o na papierze czerpanym i zaopatrzonym w filigran firmy wydawniczej. Zarówno krój czcionek jak ich rozmieszczenie na kolumnie oraz sposób wykonania heljograwjur jest ostatniem słowem wytwórczości i dobrego smaku, i żałować tylko należy, że w erratach nie zostały uwzględnione niektóre mylne podpisy pod ilustracjami, sprostowane w tekście przez autorów.

Tekst ten w przeważnej swej części napisany został przez Stanisława Wasylewskiego, jakkolwiek analiza artystyczna jest głównie dziełem Mycielskiego. Wasylewski miał wszelkie dane, by styl swój dostosować do opracowanego przedmiotu. Naszkicowane przezeń charakterystyki modeli, uwiecznionych przez panią Vigée-Lebrun na płótnie, są równie wytworne i lekkie jak portrety francuskiej artystki, przewyższają je jednak znacznie dowcipem, niepozbawionym łagodnej złośliwości. Sztuka ta nigdy dotychczas nie znalazła równie miłego komentarza literackiego.

Wasylewski określa zresztą najzupełniej bezstronnie wartość artystyczną dzieł, które komentuje. „Pani Vigée-Lebrun, — powiada, — mistrzyni różowej buzi, greckiej koafiury i słomkowych kapeluszy, poetka szalów i szarf, doprowadziła do bezkresnych wyżyn wdzięk i słodycz wyrazu. Bynajmniej nie największa, ale z pewnością najprzyjemniejsza z portrecistek".

Była nietylko najprzyjemniejsza, ale i najmodniejszą, przynajmniej na kontynencie; nic też dziwnego, że wytworne towarzystwo polskie, którego potrzebom nie wystarczają artyści krócej lub dłużej goszczący w Warszawie, korzysta ze sposobności swych licznych podróży zagranicznych, by zdobyć wizerunek, podpisany modnem nazwiskiem i z taką zręcznością pochlebiający modelowi. Ogólna liczba tych portretów według obliczenia autorów przewyższała niegdyś trzydzieści; przetrwało z nich do dzisiaj około dwudziestu pięciu, przeważnie zanotowanych przez artystkę w jej katalogu, chociaż nieznanych badaczom francuskim.

Pierwszy chronologicznie wizerunek polski pani Vigée-Lebrun, przedstawiający hr. Potocką, zanotowany jest w katalogu artystki pod datą 1776. Obraz ten spłonął prawdopodobnie podczas pożaru zamku baranowskiego w r. 1850. Dopiero w trzynaście lat później, t. j. w r. 1789, powstaje dzieło następne, poświęcone Polsce. Jest ono wydarzeniem sporego znaczenia nietylko w życiu i twórczości artystyki, ale i w rozwoju całej ówczesnej sztuki portretowej. Przedstawia ono małego Henryka Lubomirskiego „en amour de la gloire". Niezwykłej piękności chłopiec wyobrażony jest jako skrzydlaty efeb klęczący z wieńcem laurowym w ręku. Znaczenie historyczne dzieła polega na tem, że od niego to rozpoczyna się w malarstwie klasycznem tak popularny potem typ portretu mitologicznego. Tym to właśnie mitologicznym rekwizytom zawdzięcza ono niewątpliwie swój ogromny sukces w Salonie r. 1789, znajdującym się już pod znakiem Dawida. Sukces ten zależny jest oczywiście i od tego również, że skłonna do eklektyzmu artystka składając w ten sposób hołd wchodzącemu w modę klasycyzmowi, zachowuje jednak przezornie słodycz i wdzięk kończącego się rokoka.

„Le petit prince Lubomirski en amour de la gloire", stanowiący epokę w dziejach sztuki portretowej, decyduje również o stosunkach artystki z arystokracją polską. Znana ze swej bezgranicznej rozrzutności ciotka modela, księżna marszałkowa, płaci za obraz fantastyczną na owe czasy sumę 12.000 franków, a sława tego honorarjum, rozchodząc się po Polsce, wywiera efekt nie mniejszy a może nawet większy, niż zalety artystyczne malowidła.

Już tedy w r. 1791 powstaje w Rzymie portret Anny hr. Potockiej przy kaskadach Tivoli, dzieło w swoim rodzaju równie charakterystyczne, jak portret poprzednio omówiony. Jeżeli uskrzydlony i chłopięcy Henryk Lubomirski jest przemile konwencjonalnym hołdem, złożonym na ołtarzu klasycyzmu, to hr. Potocka przy kaskadach Tivoli w swej wyszukanie niedbałej pozie na tle poetycznego krajobrazu reprezentuje z niemniejszym wdziękiem komunał portretu romantycznego, ród swój wiodącego z Anglji. Jest to zresztą najlepsze bodaj dzieło artystki, powstałe w Rzymie.

Stosunki z publicznością polską stają się ożywione zwłaszcza od chwili przeniesienia się artystki do Wiednia, posiadającego podówczas bardzo liczną kolonję polską. Z jedenastu portretów polskich, tutaj wykonanych, siedem dochowało się do dnia dzisiejszego. Do najbardziej udanych należą dwa wizerunki Pelagji ks. Sapieżyny, z których jeden zanotowany został błędnie przez artystkę jako „La comtesse Zamoiska dansant avec un châle". Na uwagę zasługują pozatem pastelowe portrety dziecięce z r. 1793 Feliksa i Karoliny Woynów, dzieci posła polskiego w Wiedniu. Odznaczają się one prostotą i realizmem, na które nieco manjeryczna artystka zdobywała się niezbyt często.

Liczniejsza jeszcze, niż w Wiedniu, jest kolonja polska w Petersburgu; to też po przeniesieniu się do stolicy Rosji pracuje pani Vigée-Lebrun równie często dla klijenteli polskiej jak i w poprzednim miejscu swego czasowego pobytu. Do najwybitniejszych w tym okresie należą: nawskroś romantyczny portret ks. Pelagji Sapieżyny, malowanej przez artystkę po raz trzeci, dalej sentymentalna hr. Potocka z gołąbką na łonie (1795), wreszcie jeden z najpoważniejszych portretów artystki, Szczęsny hr. Potocki (1798), dzieło pełne szczerości i wyrazu a wolne od wszystkich owych zbędnych atrybutów, któremi tak lubiła szafować zwolenniczka Greuze'a. Tu również powstał w tymże r. 1798 znany powszechnie portret Stanisława Augusta.

Po opuszczeniu północnej stolicy stosunki z publicznością polską stają się znacznie mniej ożywione; zasługują jednakże na uwagę dwa portety powstałe w r. 1801. Jeden z nich, pastel drobnych rozmiarów, malowany w Dreznie, przedstawia piętnastoletnią księżniczkę Teresę Czartoryską i należy do najbardziej udanych dzieł artystki. Drugim jest spokojny, poważny w fakturze, zlekka klasycyzujący portret ks. Radziwiłłowej, z domu księżniczki pruskiej. Portret ten malowany był w Berlinie.

Te są najwybitniejsze polonica pani Vigée-Lebrun, opracowane przez Mycielskiego i Wasylewskiego. Wspomniałem już o niezwykłych zaletach graficznych wydawnictwa. Zasługują one na tem większe uznanie, że książką zainteresują się niewątpliwie francuscy historycy i miłośnicy sztuki, wobec których świadczyć będzie zbyt może nawet pochlebnie o poziomie drukarstwa polskiego.

Wacław Husarski.

Monografja o Staszicu

Rozprawy Historyczne Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Tom V. Zeszyt 2. *Czesław Leśniewski.* Stanisław Staszic. Jego życie i ideologja w dobie Polski niepodległej (1755—1795). Warszawa, Towarzystwo Naukowe Warszawskie i Gebethner i Wolff, 1925; str. 352 i 2nl.

Studjum Czesława Leśniewskiego jest — jak autora zaznacza — „próbą syntezy ideologji Staszica wysnutej z jego życia i pism z doby Polski niepodległej", dodajmy odrazu, że próbą zarówno pod względem metodycznym jak i merytorycznym bardzo udaną, dającą obraz w pełni wykończony.

Jest to opracowanie wyczerpujące, owoc kilkuletnich, sumiennych studjów nad epoką staszicowską, poszukiwań w archiwach krajowych i zagranicznych, owoc głębokiego przemyślenia zagadnień i doskonałego opanowania materjału.

Podstawą dla charakterystyki ideologji Staszica są tu głównie dwa jego dzieła: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego" i „Przestrogi dla Polski". Autor nie poprzestaje na wysnuciu z nich poglądów Staszica, lecz sięga znacznie głębiej do źródeł ideologji, które — poza atmosferą domu rodzinnego i domu kanclerza Andrzeja Zamoyskiego — znajduje w nauce zachodnio-europejskiej, głównie francuskiej. Przedstawiwszy w głównych linjach najważniejsze rysy t. zw. wieku oświecenia, — głęboką wiarę w człowieka, humanitaryzm i utylitaryzm, wszechstronność zainteresowań specjalne zamiłowanie do zjawisk przyrodniczych i związanej z tem nowej metody doświadczalnej — autor daje szczegółową charakterystykę poglądów tych mężów, pod których wpływem Staszic najsilniej pozostawał, a więc profesorów jego w Paryżu, Brissona i Daubentona, a przedewszystkiem i w głównej mierze świetnego filozofa-przyrodnika Buffona. Niektóre poglądy Staszica zwłaszcza z dziedziny zagadnień metafizycznych, aczkolwiek potem samodzielnie przemyślane, są wprost żywcem od Buffona przejęte.

Nasuwa się tu drobna uwaga. W przedstawieniu atmosfery racjonalistycznej połowy XVIII stulecia Leśniewski bierze pod uwagę wyłączne naukę francuską. Prawda, że miała ona wpływ bezpośredni na kształtowanie się poglądów wieku oświecenia, lecz właściwe podstawy teoretyczne dała przecież nauka angielska. Tylko że racjonalizm angielski, jak zresztą każdy ruch umysłowy w tym kraju, miał obok czysto teoretycznego podkładu wybitne cechy swoiste i nie posiadał kategorycznych sformułowań, to też na rozwój racjonalizmu w Europie wpływ bezpośredni wywarł nie on, lecz biorąca go za punkt wyjścia nauka filozofów francuskich, bardziej sformułowana i popularniejsza. Mimo to jednak przy malowaniu tła ideologji racjonalistycznej zupełne pominięcie nauki angielskiej stwarza obraz trochę niepełny i jednostronny, zwłaszcza jeśli chodzi o tak ważną w tej filozofji dziedzinę zagadnień epistemologicznych, których podstawy dali jeszcze Bacon i Hobbes, później Locke.

Na szerokiem tle ideologji wieku oświecenia daje autor szczegółową, sumienną analizę ideologji Staszica. Z pedantyczną drobiazgowością ustala poszczególne fakty jego życia, koryguje wszelkie, choćby najdrobniejsze błędne o nim szczegóły, rozpowszechnione w naszej literaturze historycznej, buduje nowe koncepcje, oparte na własnych domysłach i na niecofającej się przed żadną trudnością analizie źródła.

Po całej tej żmudnej, przygotowawczej pracy Leśniewski przechodzi do wykładu ideologji Staszica. Dzieli go dla większej przejrzystości na trzy części. W pierwszej omawia teoretyczne poglądy Staszica, podkreślając każdorazowo momenty wspólne dla całego ducha czasu i momenty oryginalne, zaznacza ciekawe i charakterystyczne różnice w koncepcjach filozoficznych Staszica i jego pierwowzorów francuskich, różnice, świadczące o zastosowaniu się Staszica do warunków lokalnych, a stwierdzające raz jeszcze fakt, który przez cały w. XIX powtarzać się będzie, że filozoficzna myśl polska, choć ściśle od Zachodu zależna, była przecież oryginalna przez swój silny związek z rzeczywistością konkretną, z życiem i czynem narodu.

Z czysto teoretycznych, choć nie wolnych od wpływu doświadczenia i warunków, poglądów filozoficznych Staszica wypływała krytyka rzeczywistości historycznej zarówno Europy XVIII w. jak i polskiej epoki stanisławowskiej, tak bardzo odbiegającej od ideałów Staszica, wreszcie — wskazania dla Polski, wytyczne zarówno w polityce zewnętrznej jak i wewnętrznej, oraz reformy społeczne i gospodarczo-skarbowe.

Lecz tu następuje pewne załamanie ideałów Staszica, a raczej zupełne ich dostosowanie do rzeczywistości konkretnej. Przy rzucaniu wytycznych dla Polski staje Staszic na gruncie pewnego rodzaju oportunizmu i zrywa z niejedną swą myślą-ideałem. Stąd chwiejność w wielu sprawach, stąd pewne niekonsekwencje jego wskazania bowiem — to nie ideał, lecz kompromis pomiędzy tem co dyktowało uczucie a tem co wskazywał rozum jako konieczność. Mając na celu tylko istotną naprawę i uratowanie Rzeczypospolitej przed ostatecznym upadkiem, musiał rezygnować z ideału i stawiać żądania jak najmniej radykalne ale zato łatwe do wypełnienia. Zwłaszcza wskazania w dziedzinie polityczno-społecznej noszą na sobie silne piętno owego odchylenia od wymarzonego ideału filozofa na rzecz praktycznych wskazań polityka trzeźwego.

Wszystkie te teoretyczne i praktyczne poglądy Staszica podaje nam autor sumiennie i jasno, z dużym pietyzmem, lecz nie bezkrytycznie. Uwadze jego nie usunie się ani jedna choćby drobna niekonsekwencja w pomysłach Staszica, nie uidzie jego czujności ani jedna nieścisłość, — wszystko zbiera skrzętnie i wyzyskuje dla możliwie pełnego obrazu idei staszicowskich. Może tylko charakterystyka poglądów Staszica zyskałaby jeszcze bardziej na plastyce, gdyby rozszerzyła swe tło porównawcze, t. j. obok wpływów zagranicznych uwzględniła choć w najogólniejszych rysach pewne zależności i różnice poglądów krajowych, jeśli nie wcześniejszych, to przynajmniej współczesnych Staszicowi, jak np. zajmującego się takiemi samemi zagadnieniami i pod takim samym kątem widzenia mniej gruntownego, ale zato bardziej błyskotliwego Kołłątaja.

Helena Więckowska.

W sercu Wschodu

Bibljoteka „Iskier" pod redakcją *Władysława Kopczewskiego.* 2. *Jadwiga Marcinowska.* W upalnem sercu Wschodu. Wrażenia z podróży po Indjach, Ceilonie i Jawie. Z 40 ilustracjami. Lwów, Książnica-Atlas, 1925; str. 4nl. i 246 i 2nl.

Przy czytaniu tego rodzaju impresyj podróżniczych ma się potrosze wrażenie jakby to nie oświecony turysta europejski podróżował po krajach egzotycznych, ale przeciwnie, okolice egzotyczne, ludzie, daty, wypadki w jednostajnej rewji przechodziły przed tym turystą. Wszystko się zmienia, tylko niezmienna pozostaje psychika podróżnika czy podróżniczki. Smakoszostwo krajobrazowe zarówno jak specyficzne smakoszostwo obyczajowe przesłania sobą wszystko, łącząc się z brakiem głębszego zainteresowania zjawiskami zachodzącemi w danym kraju oraz ich przyczynami.

Wyraża się to np. w sposobie powtarzania legend i opowieści, mających przecież przeważnie określony sens historyczny. Pani Marcinowska opowiada taką np. wzruszającą jej zdaniem legendę o królu Harisz Czandra, który wykonywając przyrzeczenie na rzecz pewnego świętego, zrzekł się wszystkich dóbr ziemskich. Alisi i to nie wystarczyło. Według zwyczaju bramin,—a wieszcz był braminem,— obok daru z ziemi uprawnej otrzymywał od ofiarodawcy odpowiednią „dakszinę", kwotę pieniężną. Wiswanitra zażądał jej w takiej wysokości, iż Harisz Czandra musiał zaprzedać w niewolę własną kochaną żonę i małego synka, a sam pójść w służbę najpośledniejszą do „czandali", człowieka z najniższej kasty"... Otóż nie ulega wątpliwości, że w podobne wzruszające legendy wpleciona bywa bardzo wyraźna tendencja, w tym wypadku na rzecz bramińskiego klerykalizmu. Ściśle biorąc niema w tem nic „wzruszającego", podobnie jak w wyrafinowanem różniczkowaniu kastowem, upośledzeniu wdów (dawniej je palono) i t. d.

Zresztą książka napisana jest ładnie, z pewnym zmysłem obserwacyjnym, i zawiera sporo szczegółów obyczajowych.

ej.

Nowe powieści

Jan Rogala. Zarzewie. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 290.

„Zarzewie", część pierwsza trylogji p. t. „Próba ognia", każe się domyślać wielu rzeczy, które wyjaśnią się dopiero w dalszych tomach. Dlatego sporo ciekawych stron tej powieści można będzie rozpatrzeć po przeczytaniu całości.

Najgorsza sprawa jest z t. zw. „sensem moralnym" „Zarzewia", „ideologją", czy też „światopoglądem". Sprawa o tyle trudna, że pewnej chwili zamyka nam p. Rogala drzwi przed nosem i pozostajemy w poważnej wątpliwości, czy rzeczywiście autor zamknął już swoje rachunki. Bo oświetlenie spraw przez autora nie jest ostatecznie przezeń ustalone jako dodatnie lub ujemne. Jest to niby wibracja płyty, na której widzimy jakiś napis, ale nie możemy go przeczytać wskutek nieustannego dreszczu, wstrząsającego płytą.

Często nasuwa się paralela między „Zarzewiem" a „Cudnem i ziemią Cudeńską" Weysenhoffa. Ten sam bohater o zagranicznem wychowaniu i wykształceniu, ze zdumieniem obserwujący polskie stosunki. Ta sama ironja wobec ludzi, reprezentujących niestuprocentową polskość, ten sam stary wuj, inteligentny zrzęda i weredyk (u Rogali wuj mimo swą śmierć jest żywy przez nasz nieustanny kontakt z jego listami, wspomnieniami i pamiętnikiem) — i wreszcie to samo przejście od początkowej ironji do późniejszych pozytywnych działań, do „czynów". Niestety, nie wiemy jeszcze, jaką ostateczną postać weźmie ta zreformowana ironja Rogali.

Ale powieść Rogali jest pomyślana szerzej i inteligentniej niż Weysenhoffa. Jest to powieść „współczesna", więc potraca o różne zagadnienia natury zarówno politycznej jak i społecznej, towarzyskiej jak i intelektualnej.

Bardzo wytworny w charakterze, wartość prawdziwego dokumentu posiada pamiętnik stryja Michała, pisary w dniach wybuchu wielkiej wojny i okupacji niemieckiej. Kartki te, prawdopodobnie autentyczny pamiętnik, stanowią najciekawszą część książki. Są stanowczo bardziej interesujące od „Uśmiechów wojny" Tadeusza Dąbrowskiego. Doskonale zaobserwowane posunięcia Niemców i Komitetu Obywatelskiego, stosunek do Rosji i do Galicji, obojętność wobec „Strzelca", przebakiwanie o legionach, dyskretny opis pobytu Piłsudskiego w Warszawie i jego wyjazdu — to czarujące stronice, pisane przez człowieka, patrzącego z powagą i ciekawością na stosunki, z których ma się wykluć coś nowego, chociaż to nowe jest mało prawdopodobne. Nie sceptyczne, ale przesiąknięte jakąś niewiarą w powodzenie są te spojrzenia z za grobu. Kto dni te pamięta, przypomni sobie, czytając ten pamiętnik, — siebie.

Całość omówimy szerzej po ukazaniu się dwóch następnych tomów.

Bolesław Żarnowiecki. Rok 1794. Powieść z czasów przyszłych. Toruń, 1927; str. 4nl. i 351 i 5nl.

Słabo opracowana pod względem fantastyki i pomysłowości powieść ma szereg niezłych ustępów opisowych, utrzymanych w manjerze Żeromskiego. Tłumaczę to sobie poczuciem wewnętrznej słabości ze strony autora. Prawdopodobnie p. Żarnowiecki usprawiedliwiałby się w ten sposób: być może, że pomysł mojego utworu nie jest najgenjalniejszy, ale proszę zwrócić uwagę na to, jak zostały wykonane poszczególne fragmenty. Słabość jednej strony powieści próbuje się ratować wartościami innego rodzaju, choć w zasadzie nie leżą one na linji rozwijania się zasadniczego pomysłu.

Motywy patrjotyczne nie mają tu także wielkiego znaczenia. Kapitanem Dersławem mógł być zarówno Anglik jak Francuz. Włoch czy inny cudzoziemiec.

W rezultacie kulturalnie napisana, ale płytko pomyślana i rozwiązana książka.

Biblioteka Groszowa. Redaktor *H. Zajączkowski.* 164 — 165. *Wojciech Baranowski.* Romans sekretarza poselstwa. Tom I — II. Warszawa. (1927); str. 154 i 6nl. (I), 159 i 1nl. (II).

Taka sobie poczciwa literatura z pretensjami do godności romansu obyczajowego, w rzeczywistości banalna i naiwna w sytuacjach i rozwiązaniach, — utwory, których napisanie sprowadza się do powzięcia decyzji, wysiedzenia dwóch czy trzech miesięcy przy biurku i wypiciu kilkuset czarnych kaw. Bohater, młody dyplomata angielski, jego narzeczona w Anglji i kochanka — Rosjanka, Olga Somowa. Kochanka umiera, a młody dyplomata powraca do narzeczonej, która go czule pielęgnuje w chorobie. Skromniutkie charaktery, robione według bezradziejnego szablonu, język którego się nie dostrzega w czytaniu — taki jest wyświechtany, beznadziejny, — brak pomysłowości — oto najważniejsze rysy charakterystyczne tego utworu.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor *Feliks Gadomski.* Tom 145. *Jan Czempiński.* Zoe. Opowieść z upiornych dni pohańbienia Rosji. Warszawa, 1927; str. 158.

Panu Czempińskiemu należałoby zabronić pisać. Jego „Zoe" — to historja godna jedynie odczytania w ciasnem kółku redaktorów „Kurjera Warszawskiego". Podobne brednie rzadko trafiają się nawet w ostatnich latach. Mniszkówna jest wobec Czempińskiego mistrzem pióra, poetka na miarę Danta czy Szekspira.

Wycofując książkę z obiegu, wydawcy spełniliby akt miłosierdzia wobec prenumeratorów.

hr.

NOTATKI

Kongres socjologji sztuki. W grudniu b. r. odbędzie się w Moskwie konferencja w sprawie socjologji sztuki. Udział delegatów zagranicznych jest pożądany. Wszelkich informacyj udziela biuro organizacyjne (Gławnauka, Narkompros, Moskwa). Na plenum rozpatrywane będą problematy socjologicznego badania sztuki, problematy stylu i formy z punktu widzenia socjologicznego, marksistowska metodologja w zastosowaniu do sztuki. Cztery sekcje zajmą się kwestjami z zakresu literatury, muzyki, plastyki, teatru i kina.

Pisarze-lekarze. Dr. Fiolle omawia w czasopiśmie „Marseille Médical" sprawę twórczości pisarzy będących z zawodu lekarzami, biorąc za punkt wyjścia Daudeta i Duhamela: „są to rzadko „literaci" w ciasnem znaczeniu słowa. W ich zachowaniu się widać potrzebę czynu, a czasami walki. Są źle przygotowani do życia kontemplacyjnego: absolutne formuły „sztuki dla sztuki" nie mogą ich zadowolnić". W ich skłonności do apostolstwa ujawnia się instynkt „uzdrowiciela", „obsesja zawodowa": dążność do likwidacji choroby.

Szkoła „businessmanów". Wybitny finansista new-yorski, George Baker, ofiarował uniwersytetowi w Harward pięć miljonów dolarów na założenie szkoły „businessmanów". Harward wychodzi z założenia, że można nauczyć ludzi robienia interesów tak samo jak medycyny, chemji czy literatury. Jako jedyny warunek swojej dotacji bogacz amerykański postawił warunek, że jeżeli ofiarowana suma okaże się niedostateczna, uniwersytet musi zwrócić się do niego o jej uzupełnienie gdyż chce być jedynym fundatorem nowej szkoły.

Kobiety-profesorki. W Niemczech jedna tylko kobieta jest profesorem (w wyższej szkole rolniczej w Hohenheim), we Włoszech są cztery: jedna piastuje katedrę zoologii w Medjolanie, druga — matematyki w Pawji, trzecia — fizyki w Ferrarze, czwarta — filozofji w Cagliari.

I tam wydawcy protestują. Podobnie jak nasi, także wydawcy francuscy zaprotestowali przeciwko projektowi Herriota, według którego musieliby płacić od dzieł, które stały się już własnością publiczną, pewien procent na rzecz specjalnie stworzonej kasy narodowej sztuki, literatury i nauki. Memorjał wydawców zawiera szereg ciekawych szczegółów, m. in. dowodzi, że z utworów powstałych w latach 1793 — 1877 ida jedynie utwory Chateaubrianda, Stendhala, Bérangera, Musseta, Sainte-Beuve'a, Vigny'ego, Balzaca, Baudelaire'a, Lamartine'a, Mérimée'go.

Prasa obca we Francji. We Francji wychodzi 167 pism w językach obcych: 30 włoskich, 24 angielskich 21 rosyjskich, 18 niemieckich 15 hiszpańskich, 14 polskich, 8 armeńskich, 7 esperanckich, 4 węgierskie, po 3 greckie, hebrejskie i ukraińskie, po 2 annamickie, arabskie i flamandzkie, 1 irlandzkie, i t. d.

Ludowa twórczość bawarska. Czasopismo „Orplid" poświeca zeszyt specjalny bawarskiej twórczości ludowej.

Rękopis „Nibelungów". W bibljotece klagenfurckiej odnaleziono fragmenty rękopisu „Nibelungów"; pisane w dialekcie bawarskim, pochodzą przypuszczalnie z XIII lub nawet XII w.

Petrarka i Laura w Avignonie. Legenda o spotkaniu Laury przez Petrarkę w wielki piątek w kościele św. Klary w Avignonie została obalona na podstawie ekspertyzy grafologicznej dr. Locart, który udowodnił, że rzekoma własnoręczna notatka Petrarki jest apokryfem.

„Don Kichot" na scenie. W rzymskim „Teatro degli Independenti" Bragaglia wystawił niedawno własną przeróbkę „Don Kichota" w 21 obrazach. Tekst cervantesowski został najzupełniej zlekceważony i dostosowany do wymagań inscenizatora, który dał zresztą znakomite przedstawienie. Bragaglia otrzymał w b. r. państwową nagrodę teatralną w wysokości 50 000 lirów (w ub. r. przypadła ona Pirandellowi). Faszystowski rząd włoski, podobnie jak komunistyczny rząd rosyjski, ma zrozumienie dla potrzeb sztuki i znaczenia teatru w życiu społeczeństwa.

„Marsyljanka" i Rasyn. „L'Opinion" wskazuje na analogję dwóch ustępów „Marsylianki" z pewnemi miejscami „Estery" i „Atalji" Rasyna.

Odnaleziony rękopis Dickensa. Jak wiadomo, Dickens założył z lordem Bulwer-Lyttonem p. n. „The Guild of Literature and Art" stowarzyszenie mające na celu pomoc biednym artystom. Historję stowarzyszenia zawarł Dickens w pięciu zeszytach, które potem zaginęły. W ub. r. odnaleziono dwa, obecnie znalazła się i reszta.

Apokryficzne wywiady. Na przełomie XVIII i XIX w dwóch dziennikarzy paryskich Louis de Robert i Paul Brulat, wyspecjalizowało się w wywiadach z osobistościami literackiemi. Naichętniej robili wywiady z Zolą, który dostarczał im obfitego materjału. Pewnego razu, nie mając czasu na rozmowę z pisarzem, sami sfabrykowali taki wywiad. Udał im się do tego stopnia doskonale, że Zola raz na zawsze upoważnił pomysłowych dziennikarzy do samodzielnego ogłaszania rozmów ze sobą na wszelkie tematy.

Bibljoteka Chamberlaina. H. S. Chamberlain, zięć Cosimy Wagner, zapisał miastu Bayreuth bibljotekę, złożoną z siedmiu tysięcy tomów. Za warunek postawił umieszczenie swego popiersia w sali, gdzie książki znajdą pomieszczenie.

Zgon Chennevière'a. Zmarł poeta francuski, Georges Chennevière, członek grupy „L'Abbaye de Créteil", autor książki „L'appel au monde", towarzysz Duhamela w jego nieudanej podróży do Warszawy. Ostatnią pracą Chennevière'a był szereg ogłoszonych w miesięczniku „L'Europe" artykułów, skierowanych przeciw Polsce.

Polska zagranicą

— „Ceskosłovenska Republika" z dn. 28 lipca b. r. podaje wiadomość o mającej powstać akademji literatury polskiej.

— „Narodni Listy" z dn. 17 sierpnia b. r. umieszczają wiadomość o pomniku Mickiewicza w Paryżu.

— „Les Annales" z dn. 1 września b. r. reprodukują głowę Mickiewicza z pomnika Bourdelle'a.—W tymże numerze notatka o otwarciu kanału Ogińskiego.

— O Słowackim artykuły z portretami zamieszczają: nr. 27 praskiego „Observera" i wychodzące w Buenos-Aires czasopismo „Caras y Caretas" z dn. 30 lipca b. r.

— W sierpniowym zeszycie „Die Literatur" znajdujemy wzmiankę o Słowackim z powodu przeniesienia jego szczątków na Wawel. Miesięcznik niemiecki nazywa Słowackiego „twórcą współczesnego dramatu polskiego".

— „Times Literary Suplement" z dn. 1 września b. r. omawia „Irydjona" z okazji przekładu angielskiego.

— Giovanni Cesari drukuje w „Gazetta di Venezia" obszerny artykuł o Dygasińskim z okazji włoskiego przekładu „Godów życia".

— Georges Godchaux umieszcza w lozańskim „L'Artistique" z dn. 13 sierpnia b. r. krótką recenzję z francuskiego przekładu „Chłopów".

— Otto Forst de Battaglia umieszcza we „Frankfurter Zeitung" z dn. 4 sierpnia b. r. omówienie zegadłowiczowskiego przekładu „Fausta", a w numerze z dn. 21 t. m. recenzję z „Europa zbiera siano" Kadena-Bandrowskiego. Z innych prac Battaglii wymienić należy artykuł o Curelu w „Hamburger Fremdenblatt" z dn. 9 lipca b. r. oraz szkic w sierpniowym zeszycie czasopisma „Geopolitik" „Ueber einige Grundbegriffe des politischen Denkens und Grundtatsachen des politischen Seins".

— „Prager Presse" z dn. 9 sierpnia b. r. przynosi obszerne streszczenie wywiadu z Wiktorem, umieszczonego w nr. 185 „Wiadomości".

— W medjolańskim „Popolo d'Italia" z dn. 14 sierpnia b. r. znajdujemy wzmiankę o poemacie Miłosza Gembarzewskiego „Mussolini", umieszczonym w „ABC".

— „Prager Presse" z dn. 2 września b. r. przynosi wzmiankę o nowych przekładach z włoskiego Edwarda Boyé.

— O książce Zuzanny Strowskiej „Légendes polonaises" drukują recenzje: „Journal de Genève" z dn. 29 lipca, „Gazette de Lausanne" z dn. 7 sierpnia i fryburska „La Liberté" z dn. 18 t. m. b. r.

— Henri Nicolle drukuje w „Eve" z dn. 11 września b. r. artykuł „Egéries et inspiratrices", w którym znajdujemy wzmiankę również i o pani Hańskiej, wraz z jej portretem.

— „Ceskoslovenska Republika" z dn. 28 lipca i „Literarni Noviny" z dn. 11 sierpnia b. r. powtarzają za warszawską „Rzeczpospolitą" plotkę o rzekomem zawieszeniu „Wiadomości Literackich". Przy okazji „Literarni Noviny" z wielkiem uznaniem wyrażają się o naszem piśmie.

— „La Pologne" z dn. 1 sierpnia b. r. pisze o „Pologne Littéraire" jako o „wybitnie interesującym" miesięczniku („extrêment intéressante").

— Na miejscu naczelnem zeszytu za maj — lipiec b. r. pięknie wydawanej „La Revue Rhénare" znajdujemy przedrukowaną z nr. 7 „Pologne Littéraire" mowę Thomasa Manna na bankiecie P. E. N. Clubu („Thomas Mann spricht in Warschau"). Mowa zaopatrzona jest w karykaturę Manna przez Daszewskiego i zdjęcie z obiadu u niemieckiego chargé d'affaires, a wstęp redakcyjny rozważa sens karykatury: pragnie w niej widzieć Manna jako „wskazującego drogę proroka i medrca" przed pomnikiem zastygłej w oczekiwaniu Europy.

— W „Ceskoslovenskem Divadle" z dn. 18 sierpnia b. r. znajdujemy wywiad Władysława Mergela z dyr. Szyfmanem.

— W „Les Annales" z dn. 15 września b. r. Andréas umieszcza sprawozdanie z wystawy kobiernictwa polskiego w Paryżu. — W tymże numerze notatki o wystawie Zofji Tyszkiewiczówny, o artykułach w prasie polskiej, poświęconych Poincarému, o projekcie akademji literatury polskiej.

— „Journal de Genève" z dn. 9 sierpnia b. r. przynosi wzmiankę o książce Smogorzewskiego „La Pologne restaurée".

— Kazimierz Smogorzewski drukuje w zeszycie za lipiec—sierpień czasopisma „Vers l'Unité" artykuł „La Pologne saura-t-elle bien se gouverner?" Redakcja zaznacza na wstępie, że — oskarżana o polonofobję — z satysfakcją ogłasza pracę polskiego publicysty udowadniając w ten sposób swoją bezpartyjność.

— W zeszycie za maj — lipiec b. r. czasopisma „La Revue Rhénane" znajdujemy wspomnienia barona de Pöllnitz o hrabinie de Cosel. Wspomnienia zdobi m. in. portret księżnej Lubomirskiej, faworyty Augusta Mocnego.

— „Münchner Illustrierte Presse" z dn. 5 września b. r. przynosi artykuł Sigmy „Könige auf eigne Faust" zawierający m. in. charakterystykę i podobiznę Beniowskiego.

— „Berliner Illustrirte Zeitung" z dn. 14 sierpnia b. r. zawiera dużą fotografję Piłsudskiego w rozmowie z królową rumuńską.

— „Der Blitz" z dn. 26 i „Münchner Illustrierte Presse" z dn. 29 sierpnia b. r. umieszczają podobizny gen. Zagórskiego, tygodnik monachijski pod pikantnym tytułem „Ein polnischer Daudet".

— Madrycka „La Epoca" z dn. 22 sierpnia b. r. przynosi recenzję L. A. C. o książce Ludwika Trzywdara-Burzyńskiego o Niemczech p. t. „Le crépuscule d'une autocratie". Recenzja zaczyna się od słów: „Luis de Trywdar-Burzyński jest szlachetnym Polakiem narodowości rosyjskiej(!), który mieszka w Madrycie, pisze po francusku i wydaje swoje książki we Włoszech".

Kurjer filmowy

Pierwsze jaskółki, — Groźny car i amerykański wujaszek: „Car Iwan Groźny" i „Taki jest Paryż!...", — Pierwsza polska wystawa foto-kinematograficzna i pierwszy wszechpolski zjazd kinematografistów.

Z wielkich, głośnych filmów zagranicznych, które ujrzymy w tym sezonie, należy wymienić przedewszystkiem: „Kot i kanarek", amerykański film Pawła Leni (realizator „Gabinetu figur woskowych"), pierwszy amerykański film Murnaua, twórcy niezapomnianego „Portjera hotelu Atlantic", p. n. „Wschód słońca", „Casanova", ostatni francuski film Mozżuchina przed jego zaangażowaniem się w „Universal Film Corporation", rosyjską „Zatokę śmierci" reżyserji Kooma, lubiczowski „Wachlarz lady Windermere", realizowane przez Niemców „Przedpiekle" Zapolskiej z Kraussem i André Noxem, słynny „Beau geste" i „Hotel Imperial" — najlepszy podobno film Poli Negri — i wreszcie „gwoździe sezonu": „Król królów" Mille a oraz trzy arcydzieła z najgłębszym bodaj tragikiem doby obecnej, Barrymorem: — „Bestję morską", „Don-Juana" i „Gdy mężczyzna kocha" („Manon Lescaut").

Dwa znaczniejsze filmy wyświetlają już obecnie równocześnie cztery kina warszawskie.

„Car Iwan Groźny" *(Światowid i Wodewil)* objawia nam tę szczególną wielkość Rosjan, tę szczególną szerokość oddechu, ktora znamionuje każdą uprawianą przez nich dziedzinę sztuki. W przeciwstawieniu do „Pancernika", „Matki" i „Zatoki śmierci" — „Iwan Groźny" ukazuje bardziej przeintelektualizowaną, bardziej europejską metodę tworzenia. Jeżeli istotą tamtych filmów było operowanie tłumami, ukazywanie gromadnych żywiołowych poruszeń i zbiorowych namiętności, — to „Iwan Groźny" jest raczej głęboką analizą jednostki, w tym wypadku patologicznej osobowości wielkiego cara. Oczywiście, wszystko jest w tym filmie podszyte tendencją, nienawiścią do zbrodniczych ciemiężycieli i miłością ludu, — ale epoka, którą odtwarza film, epoka sadystycznej tyranji i rozbestwienia „opricznikow", doskonale nadaje się do tego właśnie rodzaju traktowania. Godne uwagi w „Iwanie" jest nietylko posługiwanie się wyjątkowo często pierwszemi planami, ale i stałe ścieśnianie do maximum pola widzenia, — kąta, pod którym zdejmuje poszczególne sceny aparat kinowy. Wydaje się, iż wszystko tu zostało wciśnięte w jakiś mroczny, ponury, o zrywającem się sklepieniu kąt, — w beznadziejny kąt patologicznego indywidualizmu. I dopiero w tym kącie fantasmagorycznym, galopującym i podrygującym pod wściekłą szpicrutą — może nanają — reżysera, w tym kącie opływającym krwią i zgęstniałemi koszmarami — wszystko skłębia się w niepokojąco żywą, dygocącą masę: obłąkana twarz cara - pająka (Leonidow), taniec skomorochów, łuszcza opricznikow w habitach mnisich, gwałcących dziewki, Maluta Skuratow i Fiedka Basmanow, — dwie najbliższe carowi osoby, — kat i kochanka, nabrzmiałe żądzą twarze bojarskich messalin... I jak potężna idea — łopocące serce filmu, które pragnie się wyrwać z tego kłębowiska, — chłop o szeroko rozpiętych skrzydłach, pragnący unieść się w przestworza, — rosyjski Leonardo da Vinci w zatłuszczonym tułupie i łapciach.

W porównaniu z tym groźnym carem Lubicz wydaje się poczciwym wujaszkiem z Ameryki, który ma dość pieniędzy, żeby pozwolić nam próżnować i zanurzyć się po uszy w pijaną słodycz życia. W porównaniu z dygocącem, gorączkowem tempem „Iwana Groźnego" tempo filmu „Taki jest Paryż!..." *(Filharmonja* i *Splendid)* czyni wrażenie słodkiego drzemania, tonięcia w narkozie. Oto są ludzie, którzy potrafią jeszcze wykwintnie kochać, zdradzać i zazdrościć. Tylko do pewnej chwili, — do tej, gdy w dzikim, wprost z Czarnego Lądu przeniesionym charlestonie zaczynają bezwstydnie rozsuwać kolana, podrzucać się do góry, miotać brzuchami i piersiami, chwytać się namiętnie za biodra, karki, ramiona... Pijany bal z lubiczowskiego filmu „Taki jest Paryż!..." jest najmocniejszą syntezą tańczonej lubieżności europejskiej, tańczonego spółkowania...

*

Jako referent kinowy „Wiadomości" oraz jeden z inicjatorów i organizatorów wystawy foto - kinematograficznej poczuwam się do obowiązku sprostowania poglądów Antoniego Słonimskiego, wypowiedzianych w „Kronice tygodniowej" z ubiegłego tygodnia. Nie wydaje mi się trafne porównanie najróżnorodniejszych aparatów, prostownic, objektywów, wystawionych w Dolinie Szwajcarskiej, — z pędzlami i paletami, któreby uznano na wystawie obrazów. Nie wydaje mi się to słuszne z tego względu, że X muza jest związana z techniką najciaśniejszemi więzami krwi, że z niej się wywodzi, że najlżejsze drgnienie aparatu projekcyjnego odbija się na dziele niemej sztuki i — co za tem idzie — że dzięki ukazaniu tych właśnie aparatów szeroka publiczność zapoznaje się z mechanicznem sercem kinematografji. Nie wiem jak kogo, ale mnie ta techniczna strona kina emocjonuje nie mniej, niż artystyczna: różnica między aparatem Jarosza a T-wa A. E. G., mikroskopijne aparaciki Pathé-Baby, dzienny ekran Gregorowicza, który wygania mroki z sali kina, pozwalając na wyświetlanie obrazu przy najmocniejszem świetle elektrycznem, najnowszy aparat Auberta, pozwalający demonstrować bez przerwy do 5,000 metrów filmu... Czyż nie jest to wszystko dumą dla człowieka naszych czasów, — te cudowne zdobycze techniki? A jeśli wziąć pod uwagę, że równocześnie widz może przyjrzeć się pierwszym aparatom kinematograficznym (sala dydaktyczna), skonstruowanym przez inż. Prószyńskiego przed ćwierćwieczem blisko, — czyż niema to głęboko dydaktycznego znaczenia?

Nieco oszołamiające jest twierdzenie kolegi Słonimskiego, że wystawa jest niepotrzebna, gdyż „kino nie potrzebuje propagandy". Czy aby z pewnością? Czy w razie, gdyby istniało w Polsce ogólnie przeświadczenie, że kino jest tak potężnym czynnikiem kulturalnym, że nawet niepotrzebna mu jest propaganda — byłoby ono przytłoczone 100%-owym podatkiem magistrackim? Ale nie, — nie wszyscy u nas posiadają to przeświadczenie, i oto czemu wystawa ma do spełnienia misję niezmiernie ważną. Nie o propagandę kina bowiem chodzi, ale o propagandę filmu artystycznego i filmu o wysokich walorach kulturalnych i etycznych. W tym tylko celu został zorganizowany na wystawie konkurs najwybitniejszych arcydzieł świata, w tym celu wygłaszane są odczyty przez radjo przez wybitnych kinologów i literatów, w tym celu wyświetlane są filmy kulturalno - oświatowe i będą wyświetlane pierwsze filmy polskie. Fakt, że prezydent Słomiński postanowił odznaczyć złotym medalem m. Warszawy najcenniejszy z tych filmów, ma dla nas, ludzi kina, znaczenie olbrzymie, wróżąc nam, iż polityka rządu i władz miejskich względem kina nie dziś, to jutro ulegnie zmianie, pozwalając swobodnie rozwijać się naszej rodzimej wytwórczości. Pragnąłbym, aby kolega Słonimski, którego tak cenię i dla którego mam taką otchłań sympatji jako dla pisarza i dla człowieka, odniósł się do wystawy z tem samem zrozumieniem i życzliwością, co jego prawie imiennik.

Na zakończenie dodam, że zwołany z okazji otwarcia wystawy pierwszy wszechpolski zjazd właścicieli kin, biur oraz przedstawicieli prasy filmowej jest pierwszym poważnym krokiem na drodze uspołecznienia się naszego przemysłu filmowego. Został on nade życzliwie powitany przez przedstawicieli władz, którzy przyrzekli wziąć pod jak najtroskliwszą uwagę rezolucje zjazdu, zmierzające do poprawienia stanu przemysłu kinematograficznego w Polsce i do wprowadzenia niemej sztuki do panteonu kultury narodowej na prawach równych z innemi dziedzinami sztuki.

Anatol Stern.

KRONIKA TYGODNIOWA

Obojętność. — Zręczna autoreklama. — Wzruszający list. — Cytaty płatne od wiersza. — O moich płucach. — Banały bankietowe. — Kalanie gniazda. — Akademja. — Gdzież są?—Rozwiązać sejm.— Trochę polityki.—Rekord prasy warszawskiej. — Najnudniejsze smrody. — O mowę polskiego delegata. — Ohyda. — Podpis i zawód dla tych, którzy oczekiwali znowu paru dowcipów i kpinek.

Zdaje się już chwilami, że martwota i obojętność objęły nas i wszelkie nasze poczynania żelaznym, zimnym musem, że słowo drukowane kręci się w tem małem monotonnem kółku paru ulic i paru znajomych, wśród których stale się obracamy. A jednak co pewien czas jakiś tom wierszy lub numer pisma odstrzeli się, zbłąka, daleko, aby powrócić do nas echem mówiącem o żywej, ciekawej, napiętej uwadze odległych, nieznajomych czytelników. Będzie to czasem list gorzki lub niesprawiedliwy, ale czasem piękny, jak odpowiedź na fragment mego poematu (patrz „Skamander", zeszyt 49), pisana gdzieś w Atule, wśród malarycznych oparów. Trudno bez wzruszenia czytać te strofy młodzieńcze, surowe chwilami i naiwne, ale tchnące poezją. Pisze tam młoda autorka o atakach malarji, o moczarach i trzęsawiskach kopanych rękami bohaterskich pionierów palestyńskich. Nie załamuje rąk nad tragizmem swej doli, ale w męce gorączki gwiżdże „Walencję".

„Zagrał nam ją raz w cieniu
Kryjej palmą szopy
Jakiś stary gramofon.
Ukłon z Europy".

Mimo cierpień i niedostatku poetka nie myśli o powrocie:

„Ziemi tej ne rzucim! Mówią — dla idei,
ale nam się znudziła bohaterów rola,
i krzykniemy w twarz światu bezczelnie
i dumnie:
taka nasza wolna wola!
Zostaniemy naprzekór sobie, tobie, jemu,
światu, duszy i męce, naprzekór mądrości,
co mówi, że z suchej, podlanej krwią
ziemi
nie wydobędziem zieloności!"

Te listy, które przychodzą co pewien czas, ukazują nam powagę słowa drukowanego. Pamięć o ludziach nieznanych powinna być miarą naszych poczynań literackich. U nas, niestety, pisarze liczą się przeważnie z opinją kółka literackiego, t. zn. ludzi wyjątkowo zblazowanych, małoduszny ch, a nawet wręcz wypranych z wrażliwości. Atmosfera w tem środowisku (nie mówię o walce, bo tam gdzie jest walka muszą być żywe uczucia) jest duszna i niezdrowa. Nie byle zdrowych płac trzeba, aby móc oddychać w tem powietrzu głębokim tchem prawdziwgeo, bujnego życia.

Ludzie stojący na uboczu literatury — czytelnicy naszych uszu i książek — wyobrażają sobie pewnie to życie literackie jako teren ścierania się myśli i poglądów. Wydawałby się mogło, iż ludzie pióra, gdy schodzą się ze sobą, mówią przynajmniej tyle o rzeczach poważnych, o swoich sprawach, co lekarze lub inżynierowie. Niestety, życie literackie ogranicza się do bankietów P. E. N.-Clubu, gdzie wygłasza się banalne komunały, i do życia towarzyskiego, gdzie uważa się wręcz za nietakt poruszenie jakiejś sprawy poważniejszej. Niech się nie wydaje komu, iż jestem zwolennikiem t. zw. „rozmów istotnych" i że chciałbym, aby poeci mówili z sobą o asonansach i męskich rymach. Wcale nie o to chodzi. Smutne jest to, iż nie mówi się o poezji, jak się nie mówi o umarłej. Brak twórczej rywalizacji, brak gorączkowej pracy a nadewszystko płynąca ztąd i będąca tego przyczyną obojętność wobec ludzi — czyni z grupy poetów bandę szukających się wzajem tetryków, dowcipnisiów i zgryźliwców. Życie i twórczość zamyka się w jednym kwadracie ulic śródmieścia. Literatura w Polsce nigdy bodaj jeszcze nie stała tak nisko, nie miała tak mało jak dziś znaczenia. Na palcach jednej ręki można policzyć pisarzy, którzy izolują się od tej stęchlizny stosunków lub mimo wszystko potrafią myśleć i pracować twórczo.

W takich to warunkach ma powstać akademja literatury — śmieszna forma, wymyślona dla przykrycia lichej treści. Gdzież są ci starzy autorzy, którzy mają wpływ na społeczeństwo? Poczytni powieściopisarze? Młodzi, rewolucyjnie nastrojeni poeci?

A jednak w społeczeństwie nie jest tak źle. Przy całej martwocie jest głód dobrej książki, głód poezji i teatru. Niechże pisarze oderwą oczy od tej przeklętej bandy, która ich otacza, od tych delegatów publiczności, którzy równie dobrze reprezentują naród jak posłowie sejmowi. Rozwiązać sejm! Rozpędzić na cztery wiatry tę grupkę autorytetów.

Słowo drukowane ma potęgę nieograniczoną. Nie ginie nawet w atmosferze największego zaduchu. Przebija się przez mury i ściany i trafia w czułe, unerwione miejsca tłumów ludzkich. O potędze agitacji wiedzą ludzie oddawna. Nic więc dziwnego, iż z wielkiem zainteresowaniem współczesny pisarz śledzić musi to miejsce, w którem rodzić się mają nowe, zwycięskie, oczekiwane z upragnieniem słowa. Myślę tu o Lidze Narodów. Politycy i przedstawiciele zebranych tam narodów zdają się jak nasi poeci i pisarze zapominać o szerokim, niezmierzonym tłumie oczekujących na ich słowa. „Wszelka wojna jest zbrodnią" — to proste zdanie, które padło z ust przedstawiciela Polski, — jest właśnie sankcją, jest tą egzekutywą, na której brak skarżą się członkowie zgromadzeń w Lidze Narodów. Słowom tym trzeba nadać timbre trąb nosiężnych, słowa te trzeba roznieść po świecie, podnieść je do tysiącznej potęgi. Przemówienia w Lidze Narodów powinny być skierowane do wszystkich ludzi świata a nie kręcić się w ciasnej protokólarnej gromadce „fachowców". Olbrzymiej, potwornej wręcz propagandzie wojny trzeba przeciwstawić propagandę pokoju. Wystarczy setna część tych miljardów, aby obalić raz nazawsze ohydę i głupotę wojny. Wtedy Liga Narodów odnajdzie swój autorytet w obliczu konfliktów wojennych.

Słowa, demaskujące oszustwo zbrojeń i szantaż wojenny, powinny być nadawane przez potężną radjo-stację Ligi Narodów, powinny być czarnemi, kaminnemi czcionkami drukowane na pierwszem miejscu każdego uczciwego pisma.

Tymczasem, cóż się dzieje? Delegat Polski Sokal wygłosił przemówienie w najbardziej palącej sprawie ogólno-ludzkiej, mówił o rzeczach, które nas wszystkich najbardziej z tego co się na świecie dzieje obchodzą, a żadne z pism polskich nie podało in extenso jego przemówienia! Pisma, które wywlekają najnudniejsze smrody stolicy, aby zapchać swe nikczemne szpalty, pisma trzęsące się z radości na wieść o morderstwie, gwałcie lub jakiemkolwiek zwyrodnieniu, — nie zdobyły się nawet na pomieszczenie fragmentów pamiętnej mowy.

Ohyda.

Antoni Słonimski.

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Arct, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", „Rój", Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

POWIEŚĆ, NOWELA

Stefan Zweig. 24 godziny z życia kobiety. W odmęcie uczuć. Przełożyła *Melanja Wassermannówna.* Stanisławów, „Renaissance", (1927); str. 239 i 1nl. Zł. 7.—. Na tom składają się trzy nowele: „24 godziny z życia kobiety", „Agonja serca", „W odmęcie uczuć".

Bibljoteka Narodowa. Serja I. Nr. 101. *Ignacy Krasicki.* Pan podstoli. Opracował *Juljan Krzyżanowski.* Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. LXI i 1nl. i 374 i 2nl. Zł. 5.—. Wstęp omawia romans w w. XVIII, genezę, kompozycję, elementy dyskursywne, artyzm, znaczenie, pierwsze wydania i rękopis „Pana podstolego".

UTWORY DRAMATYCZNE

Bibljoteka Narodowa. Serja I. Nr. 24. *Zygmunt Krasiński.* Nie-boska komedja. Opracował *Juljusz Kleiner.* Wydanie czwarte przejrzane. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. XXXVI i 107 i 3nl. Zł. 1.30. — Na wstęp składają się cztery rozdziały: „Boska komedja" Dantego a „Nie-boska komedja", „Geneza „Nie-boskiej komedji", „Problemat poezji i walki społecznej w „Nie-boskiej", „Nie-boska komedja jako dzieło sztuki".

Bibljoteka Narodowa. Serja I. Nr. 105. *Juljusz Słowacki.* Fantazy czyli Nowa Dejanira. Opracował *Stefan Kołaczkowski.* Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. XLVII i 1nl. i 121 i 3nl. Zł. 1.80. — Komentator charakteryzuje kolejno okres powstania komedji, jej realizm, humor i prostotę, genezę, budowę i rozwój akcji, wreszcie naczelne wartości estetyczne.

FILOLOGJA, NAUKA JĘZYKÓW

Aleksander Brückner. Słownik etymologiczny języka polskiego. Zeszyt XII — XIII (ark. 44 — 51). Dodatek — Indeks. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. 685 — 806. Zł. 6.50 za zeszyt. — Monumentalne dzieło znakomitego uczonego jest tedy wydane w całości. Wydawnictwo dostarcza opraw w cenie zł. 3.40 (płótno) i zł. 10 (półskórek), za koszta opakowania i przesyłki doliczając gr. 70.

PRZEGLĄD PRASY

O POZIOM KULTURY POLSKIEJ

J. Kaden-Bandrowski („Niema dyskusji", „Głos Prawdy", nr. 256) zastanawia się nad przyczynami upadku krytyki w Polsce. Książek krytycznych nikt nie czytuje, więc wydawcy przestają je drukować, a krytycy pisać. Winę ponoszą tu przedewszystkiem uniwersytety, które izolują studenta od współczesności literackiej, traktując literaturę jako „drętwy objekt seminaryjnych rozważań". — Na inny objaw zdziczenia intelektualnego zwraca uwagę *J. M. B.* („Profanacja słowa", „Robotnik", nr. 256), w dosadnych słowach charakteryzując to potworne zjawisko, jakiem jest w Warszawie t. zw. „czerwona" prasa, żerująca na *„zucołaniu luakiem, na prostactwie, wyjałowieniu duchowem* i deprawacji burżuazji". — *Henryk Bezmaski* („Misja książki polskiej", tamże) rzuca projekt urządzenia wystawy książki polskiej w Paryżu z okazji mającego niedługo nastąpić odsłonięcia pomnika Mickiewicza.

DYSKUSJA W SPRAWIE AKADEMJI

Bardzo rozsądny artykuł p. t. „Jaka ma być nasza przyszła akademja literacka" ogłasza *Stefan Krzywoszewski* w nr. 38 „Świata", twierdząc słusznie, że akademja jako „instytucja reprezentacyjno-emerytalna" jest zbyteczna, gdyż wtedy „zbrakłoby jej sił żywotnych do realizowania tych wielkich zadań, których zabieganiu stałego spełniania ogół pisarstwa się spodziewa". Emerytury dla zasłużonych autorów to mało jako program; przed interesami pisarzy idą jeszcze interesy piśmiennictwa.—Podobnemi argumentami, tylko w sposób ostrzejszy, operuje *Karol Irzykowski* („Sprawa akademji literackiej", „Robotnik", nr. 256), którego poglądy na tę sprawę znają zresztą czytelnicy „Wiadomości" z uwag ogłoszonych w nr. 194.

LITERATURA

W nr. 20 „Myśli Narodowej" *Antonina Szpotańska* drukuje pracę „Mickiewicz i Mazzini w tworzeniu się idei narodowej", zestawiając inteligentnie i przejrzyście systematy ideologiczne wielkiego Polaka i wielkiego Włocha.—Tamże ogłasza Jan Dürr rozprawkę *Stanisława Wyspiańskiego* z lat gimnazjalnych czy uniwersyteckich „Virtus". — Sensacyjny charakter nosi tytuł feljetonu *Florjana Sobieniowskiego* w nr. 211 „Czasu": „Shaw i Wyspiański". Niestety, treść zawodzi oczekiwania, a autor nie rozwija swojej myśli o analogjach pomiędzy „Weselem" a „Człowiekiem i nadczłowiekiem". (Sobieniowski tłumaczy „Wesele" na angielski!) — O Williamie Blake'u pisze *Wacław Husarski* w nr. 38 „Tygodnika Illustrowanego" i *A. L.* w nr. 228 - 229 „Dnia Polskiego". — „Rozmowa z Ilją Erenburgiem" *Kar. Beyl.* („Kurjer Polski", nr. 256) grzeszy przesadnym entuzjazmem w stosunku do doskonałego zresztą pisarza rosyjskiego: powiedzenie, że Erenburg jest w Polsce „uwielbiany", brzmi co najmniej naiwnie. Pozatem z wywiadu dowiadujemy się, że Erenburg pisze nową powieść satyryczną i wydaje zbiór szkiców p. t. „Biały węgiel, czyli łzy Wertera". — W nr. 25 „Kobiety Współczesnej" *Natalja Kuczyńska* w artykule „Śmierć rymów" głosi chwałę asonansu, zwycięsko wypierającego umierający rym. Temu twierdzeniu zdają się zaprzeczać umieszczone w tym samym numerze dwa przepiękne wiersze *Marji Pawlikowskiej* („Zeszłoroczne śniegi" i zwłaszcza „Westchnienia"), wsparte na klasycznych rymach.

ZŁY I DOBRY TEATR

W obronie złego teatru występuje *Wacław Grubiński* („Krakowski teatr zagraniczny", „Kurjer Warszawski", nr. 253). Chodzi oczywiście o współczesnych polskich autorów dramatycznych, których słusznie nie chce grać scena krakowska. Kierownik literacki teatru, dr. Świątek, oświadczył mianowicie, że z jednej strony wydajność twórczości rodzimej jest „niezbyt intensywna" (dr. Świątek wyraził się z maksymalną delikatnością), z drugiej zaś — lokalne sztuki autorów warszawskich nie są zrozumiałe dla publiczności krakowskiej. Pan Grubiński oburza się na takie stawianie kwestji i usiłuje udowodnić, że Ibsen, Jonson i Moljer są w takim samym stopniu pisarzami lokalnymi, jak Kawecki, Kiedrzyński czy Krzywoszewski, i że jeżeli dr. Świątek nie chce wystawiać lokalnych sztuk Kaweckiego, Kiedrzyńskiego czy Krzywoszewskiego, powinien stosować to także do Ibsena, Jonsona i Moljera. Straszliwy poziom tej argumentacji i tego zestawienia zapewne umocni tylko dyrekcję teatru krakowskiego w jej chwalebnej i kulturalnej decyzji.

O dobrym teatrze pisze *A. Zelwerowicz* („Wystawa teatralna w Magdeburgu", „Tygodnik Illustrowany", nr. 38), barwnie i żywo charakteryzując tę imponującą wystawę, aczkolwiek w związku z wielkiemi możliwościami niedość krytycznie oceniając jej wyniki.

PLASTYKA

St. Pieńkowski („Literackość i plastyka", „Gazeta Poranna Warszawska", nr. 256) występuje z programem rozszerzenia terenu działalności warszawskiej „Zachęty": wystawy malarstwa stalugowego i rzeźby „wyczerpały się w sposób wszystkim widoczny", należałoby otworzyć salony dla wystaw dekoracji wnętrz, wystaw architektoniczno-ogrodniczych i t. d. Miałoby to doniosłe znaczenie dydaktyczne, zwłaszcza jeżeli chodzi o szeroką publiczność, pozbawioną w życiu codziennem wszelkich aspiracyj artystycznych. — Ostro atakuje politykę „Zachęty" *Tytus Czyżewski* („Prowokacyjne wystawy w „Zachęcie", „Kurjer Polski", nr. 256): oto jedyna poważna instytucja wystawowa w miljonowem mieście nie dopuszcza szereg artystów, bojkotuje szereg kierunków w sztuce. — W nr. 228 - 9 „Dnia Polskiego" artykuł *Franciszka Siedleckiego* „Karol Frycz". — *Artur Prędski* („Malarze polscy w Paryżu", „Kurjer Polski", nr. 256) daje charakterystyki wybitnych przedstawicieli naszej ambasady artystycznej w stolicy Francji. — Cz. („O „Pochód na Wawel" w Warszawie", tamże) zwraca uwagę opinji publicznej, że p. Wacław Szymanowski czyni starania, aby jego dzieło stanęło w Warszawie. Zaiste, niepokojąca wiadomość. — „Rzeczpospolita" (nr. 253, „Po latach na ojczyzny łono...") agituje za umieszczeniem w Poznaniu powracających do kraju zbiorów rapperswilskich.

KULT NAHAJKI

Cała niemal prasa warszawska potępiła ohydną napaść na współpracownika „Rzeczypospolitej", p. Tadeusza Mostowicza, którego porwano, wywieziono za miasto i pobito. Miała to być podobno kara za treść i ton feljetonów p. Mostowicza. Pięść i kij nie mogą być nigdy argumentem w żadnym sporze, ale ostatecznie można zrozumieć odruch człowieka, który w obronie czci ukochanego wodza reaguje nawet zniewagą czynną, piętnując potwarcę otwarcie i ponosząc pełną odpowiedzialność. Cóż jednak wspólnego z honorem i uczciwością posiada postępek ludzi, w siedmiu podstępnie napadających na bezbronnego człowieka, aby potem po tchórzowsku chronić się przed ręką sprawiedliwości?

Dla „Głosu Prawdy" (nr. 249) cała sprawa jest tylko „wypadkiem dziennikarza", dla nas—jednem z najwstrętniejszych wydarzeń w dziejach obyczajowości odrodzonej Polski, zalatującem wiatrem od Wschodu.

I to mimo wyrobionej opinji, jaką mamy o wydawnictwie p. n. „Rzeczpospolita".

jam.

Camera obscura

ZDROWA AKCJA

„Chwila" w nr. 2972 pomieszcza artykuł p. Henryka Heschelesa p. t. „Słowacki na Wawelu" w którym autor żali się, iż Słowacki

„opuścił cichą, romantyczną siedzibę śmierci, opuścił wielkich towarzyszy sławy i samotności, z których prochami przekomarzały się (?) w noce zadumane Jego kości"...

Kości przekomarzające się z prochami — to stała bolączka wszelkich cmentarzy. Ciągłe te „zyg-zyg", kpinki, chichoty. Jeśli p. Hescheles wystąpił tu w imieniu odłamu nieboszczyków, którzy gustują w spokoju, akcja jego powinna być uznana jako najzupełniej zdrowy odruch spokojnych trupów.

ZWIERZĘ ZE SZTUCZNEMI ZĘBAMI

„Kurjer Warszawski" pomieszcza interesujące zawiadomienie:

„Patent Polski Nr. 589. dotyczący „Sztucznych części wnątrza ciała ludzkiego lub zwierzęcego, szczególnie sztucznych przyrządów do gryzienia łącznie z częściami do ich umocowania". P. Friedrich Hauptmeyer w Essen jest do odstąpienia względnie do udzielenia licencja z tego patentu. Bliższych wiadomości udzieli Cz. Raczyński, Inżynier dyplomowany i rzecznik patentowy. Warszawa, Piękna 64 m. 4, telef. 35-29".

Pan Friedrich Hauptmeyer jest do odstąpienia, ale ja go nie wezmę. Znam go. Jegomość ten nie jest sztuczną częścią „wnątrza" ludzkiego ani zwierzęcego. Jest on bardzo popularną prawdziwą częścią ciała ludzkiego. Nieprawdą jest również, iż ta część ciała ma przyrząd do gryzienia. Tam niema zębów. Sam niedawno sprawdzałem.

NIE WYWOŁUJ WILKA Z LASU, BO WYLIZIE BYK

W „ABC" w nr. 255 czytamy:

„...ludzie zaczęli atakować wilków"...
„...wystrzałami spłoszył wilków do lasu"...
„...stado wilków i dwóch z nich zostało zabitych"...

Redakcja „ABC" powinna zacząć od abc naukę gramatyki polskiej. „Dwóch wilków" możnaby zabić tylko w wypadku, gdyby to były t. zw. „wilki morskie", czyli starzy marynarze. Wtedy nie byłoby to może w zgodzie z sumieniem i kodeksem karnym, ale przynajmniej w zgodzie z gramatyką.

NATCHNIONE BIURO

„Kurjer Warszawski" ogłasza:

„Biuro „Polot" Wspólna 39, Tłumaczenia, podania, przepisywanie na maszynach, kopjowanie planów".

Wspaniałe biuro! Widzę już natchnione, rozognione twarze urzędników, przepisujących na maszynie z polotem i natchnieniem. Kopjują z polotem, przepisują w ekstazie jak nareszcie znajdą robotę. A tak siedzą smutni i patrzą z melancholją w ociekające deszczem okna. Biedni chłopcy.

NOWOŚĆ
HENRYK JUSZKIEWICZ
„Wiosna i miłość"
POEZJE
Wyd. luksusowe na pap. kred. z okładką dwubarwną. Cena zł. 3.—
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
F. HOESICKA
TEGOŻ AUTORA POPRZEDNIO WYDANE
„EROTYKI". Nakł. księgarni J. Czerneckiego
„TWORZYMY POLSKĘ". Dom Książki Polskiej
„STANISŁAW WYSPIAŃSKI: Narodzie, wróżę, zmartwychwstaniesz". Nakł. księgarni G. Wojnara

KURSY KALKULACJI ROBÓT DRUKARSKICH
ZAPOMOCĄ KORESPONDENCJI
Kurs rozpocznie się z dn. 1 października b. r. i rozłożony jest na 52 lekcje tygodniowe. Opłata roczna wynosi zł. 65. Należność przesyłać należy przekazem pocztowym pod adresem: Roman Mathia, redaktor „Grafiki Polskiej", Warszawa, Bednarska 9 m. 11, lub wpłacać do P. K. O. na konto 10-639.

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klisze cynkografji „W. Główczewski", Chmielna 18

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI